№ 13. Warszawa, d. 14 (26) Marca. 1870 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W téj summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Od Redakcji. — Kilka kartek z pamiętnika podróży odbytej latem r. 1869 przez Felicjana. — Przegląd literacki, artystyczny teatralny i różne wiadomości. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Kursa naukowe wyższe dla młodych panien w Paryżu. O Ubiorach. — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

Od Redakcji.

Tygodnik Mód w kwartale drugim b. r. pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Upraszamy o wczesne przysyłanie należytości prenumeracyjnéj wprost do Redakcji, bez żadnego innego pośrednictwa, bo jedynie tym sposobem zapewnić możemy śpieszne i punktualne przesyłanie wychodzących numerów. Cena prenumeraty pozostaje ta sama a mianowicie: w Warszawie kwartalnie rsr. 1 k. 80, z przesyłką przez pocztę: kwartalnie rs. 2 k. 50, półrocznie rs. 5, rocznie 10, licząc w to opłatę pocztową i koszta ekspedycji.

Przyjaciel Dzieci pismo illustrowane tygodniowe, wychodzić będzie i w następnym kwartale r. b. z rozdzieleniem części przeznaczonéj dla dorastającéj młodzieży i dla młodéj dziatwy, jak to ma miejsce od początku bieżącego roku. Pamiętniki Mieczysława K...go ogólne zainteresowanie obudzające w czytelnikach, drukowane będą w dalszym ciągu i przez następne numera.

Prenumerata wynosi w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 35, z przesyłką przez pocztę kwartalnie rs. 1 kop. 75 — półrocznie rs. 3 k. 50; rocznie rs. 7.

Egzemplarzy obydwóch pism z pierwszego kwartału, można nabyć za zgłoszeniem się do Redakcji.

Adres dla obu pism: do *J. K. Gregorowicza* w Warszawie ulica Żabia N. 956.

KILKA KARTEK

Z PAMIĘTNIKA PODRÓŻY ODBYTÉJ LATEM R. 1869.

przez **Felicjana.**

(Dokończenie).

Rynek wielki jest rozległym, choć o wiele mniejszym od Krakowskiego trapezem, do któréj jak do serca zbiegają się wszystkie arterje życiowe, nie saméj tylko staréj miasta części. W pobliżu tu bowiem Żydowska dzielnica, dworce kolei, i wreszcie miasto *Nowe*, choć także nie koniecznie dzisiejsze. Opisaliśmy już poprzednio potężne handlowe tętno, bijące wpośród tych ciasnych, krętych, ale przedziwnie czystych zaułków i uliczek. Obecnie, sprobujmy jedną z głównych, to jest przynajmniéj prostą i jako tako szeroką (Zeltner jest jéj nazwisko), wyjść wreszcie z tego labiryntu na nieco przestronniejszą widownię. Na krańcu téj ulicy napotykamy znowu przepyszną bramę z 15-go wieku, suto strojną w rzeźby gotyckie. Zwie się ona podobno *Prochownią* (Pulwerthurm), przedzielała zaś stare miasto od nowego, za czasu, kiedy te były jeszcze odgrodzone murami. Tuż opodal, dawny pałac Królewski, gmach potężny, ale raczéj wyglądający na nieufną warownię. Z pod stóp tego nieboszczyka wymyka się *Hyberner*, szeroka i co się zowie piękna ulica, ale wbiegająca już lotem strzały prosto w wiek dziewiętnasty, wiedzie bowiem ku świątyniom pary i telegrafów, więc jednem słowem w gorączkowe chwil drogich użycie, nie mające ani możności ani chęci obejrzenia się po za siebie. Dla tego skręćmy lepiéj w prawo — a tak trzymać się jeszcze będziemy choćby kraju owéj szaty powłóczystéj, którą przeszłość poważna powoli ściąga za sobą. Część jednak w którą wkraczamy, jest względnie tylko *Miastem Nowem* właściwie zaś nieco tylko nowszem od starego, to jest o wiele mniéj wyrachowanem co do miejsca, i jak się zdaje hojnie chcącem zużytkować to, co się tam oszczędnością uzbierało. Jeżeli rynek i jego otoczenie najbliższe wygląda po trosze jak skarbona pękata, potrosze jak zasobna spiżarnia — tu za to, podobnie jak w stronie wybrzeża, znajdziesz przemoc dobywającego się na wierzch i płynącego już swobodnie bystrem łożyskiem bogactwa. Oto, jak zajrzysz okiem, prosta jak lot strzały, szeroka zaś jak nasz plac przed Bankiem, ulica. Nazywa się to *Am Graben* (jakby po naszemu Podwale), miejsce to bowiem obronnego niegdyś muru, który tu, jak powiedzieliśmy, dwa miasta rozgraniczał. Po obu stronach nieprzerwany szereg ozdobnych kilkopiętrowych domów, — dołem nieprzerwany łańcuch najwystawniejszych sklepów, źwierciadlanych kawiarń, kwiatami strojnych galerji, na przestrzeni tak długiéj — jeżeli nie dłuższéj — jak nasz Nowy Swiat Warszawski, u krańca zaś wytworny *Rynek Owocowy*, po za tym znowu dobre drugie tyle przepysznego drzewami wysadzanego bulwaru, skręcającego lekkiem półkolem ku nie mniéj długiéj *ulicy Urszulinek*, wybiegającéj wprost na most Żelazny; taki jest ten pas graniczny, oddzielający niby, a właściwie kunsztownie łączący przeszłość staréj Pragi z jéj obecnością. A teraz, zapuśćmy się głębiéj jeszcze w tę teraźniejszość, tak rwistym pędem lecącą ku przyszłości, że je niemal za jedno wziąść można. Oto niedochodząc Owocowego rynku, ulica pod kątem prostym przecinająca Kolowracką (Am Graben), *Rossmarkt* się ona nazywa. Szeroka jak plac Teatralny od Nowo-Senatorskiéj do Wierzbowéj, długa jak Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat razem wzięte, pod sznur prosta, równie dołem jak górą, obie jéj strony zdają się być dwoma tylko najściśléj jednolitemi jak oko zasięgnie gmachami. U wstępu jéj stoi konny posąg Ś-go Wacława, na krańcu nieodzowny Jan Ś-ty, ale go już ledwie okiem dojrzeć można. Ogromna ta perspektywa, ku końcowi podwyższa się stopniowo, co sprawia, że rój uwijających się tam ludzi jak mak drobnych, wygląda podobny do mrowiska Pygmeów, wstępujących lub zstępujących po olbrzymich schodach przedsionka jakiejś świątyni. Powiększa jeszcze złudzenie głębia z kolumnową bramą w pośrodku, a daléj tarasami coraz wyżéj piętrzące się wzgórza, na których szczycie ma-

jaczeją wreszcie pośród drzew gęstwy kioski uwieńczone w bandery i kwiaty. Nie łatwo o drugą podobnie zachwycającą panoramę. Wieczorem, kiedy środkiem płonie tam cały szereg świeczników gazowych podtrzymywanych przez brązowe geniusze, kiedy te iskrzące kilkoramienne wytryski zdają się migać jak gwiazdy w pośród powodzi światła, buchającéj przez każdą źwierciadlaną szybę, widok jest prawdziwie czarodziejski. Myślę, że Prażanie nadewszystko szczycić się muszą swoim Rossmarktem, jak my nieprzymierzając naszym Saskim Ogrodem, choć ten ostatni, nawiasem mówiąc, jest dopiero przepysznym materjałem do czegoś, coby być dopiero mogło w przyszłości.

Na tem zakończymy wreszcie zewnętrzny przegląd Czeskiéj stolicy. Zajrzyjmy jeszcze nieco w życie jéj wewnętrzne. Publicznych zbiorów w Pradze mało, a raczéj jeden tylko, i to od niedawna założony. Chcemy tu mówić o *Muzeum Narodowem* znajdującem się *w Pałacu Noztitz*. Zbiór ten, w skromnych rozmiarach mieści w sobie wszystko, co gdzieindziéj pojedyncze obszerne zapełnia galerje. Jest tu biblioteka, gabinet starożytności, numizmatów i medali, rzeźb z drzewa i słoniowéj kości, wreszcie zoologiczny, mineralogiczny i botaniczny. Z tych najcenniejszy Zbiór Czeskich starożytności, oprócz rozliczny wykopalisk z krzemienia, gliny i brązu, ciekawych broni z wojen Hussyckich, wspomnianego już wyżéj miecza Sprawiedliwości, oraz szabli Gustawa Adolfa, mieści autentyki Libuszynego sądu i Królodworskiego Rękopisu, a także mnóstwo rzadkich druków, autografów i rękopiśmiennych miniatur, szczególnie z historją Hussa i Zyżki w związku będących. Wysokiéj jest także wartości gabinet mineralogiczno-geologiczny, a zwłaszcza część jego mieszcząca skamieniałości, oraz odciski kopalnych istot i roślin; wydaje mi się on o wiele nawet kompletniejszy od kollekcyi Drezdeńskiéj. Zbiór ten cały pochodzi z daru Hr. Sternberga, wielkiego jak się patrzy dobrodzieja swego kraju — wszędzie go bowiem pełno, gdzie tylko o pożytku publicznym mowa być może. Tu podarował jakiś zamek na szkołę wojskową, owdzie w pałacu swoim dał pomieszczenie galerji obrazów Stowarzyszenia Sztuk — tu fundusz jakiś przeznaczył, tam wsparć udziela. Zdaje mi się także (choć nie zupełnie tego jestem pewny), że również z daru tego Magnata pochodzi zbiór ośmiu posągów, który w jednéj z dolnych sal Muzeum Czeskiego podziwiać można. Przedstawiają one wybór dziejowych znakomitości Czezkich, jak Libuszę, Przemysława, Borzywoja, Jerzego Podjebrada, Otakara, i innych — są zaś z zmodelów Szwanthalera, przez niego samego kunsztownie z brązu odlane. Jak widzimy, podarunek to prawdziwie królewski.

W innym *pałacu Noztitz*, położonym blisko lewego wybrzeża, prawie w równéj odległości od obu mostów, znajduje się wcale piękna galerja obrazów; są tam i rzeźby, ale już mniejszéj wartości. Zbiór to prywatny, przecież z wszelką uprzejmością pokazywany każdemu kto ciekawy. Ponieważ jednak najcenniejsze przedmioty, nie w galerji ale w mieszkalnych znajdują się appartamentach, (co już samo wykazuje, jak dalece właściciel przeczystą tylko miłością piękna kierowany, życie wśród nich spędzać lubi), z tego tedy powodu, nie ma zakątka w pałacu do któregoby wejście podróżnemu wzbronionem było. Otóż nic bardziéj pouczającego, jak w obec przepychu dzieł sztuki, skromność równie wnętrza owéj pańskiéj rezydencji jak i wszystkich sprzętów. Pokoje, z wyjątkiem strojniejszéj nieco sali balowéj, mają sobie najzwyczajniejsze obicia wełniane. W sypialniach, w bibliotece, w jadalni, w pracowni hrabiego, same najprostsze sprzęty jesionowe (fortepianik tylko machoniowy, ale i to dawnego kształtu na trzech nogach), jedyny zaś fotel sprężynowy przed biurkiem w pracowni, oraz podobny temu, ale już staruszek, w saméj pani pokoju. Doprawdy, niema tu do czego czepiać komentarze — rzecz sama z siebie prawi dość wymownie. Wracając do zbiorów tego pałacu, niewątpliwie perłą ich są cztery portrety Holbeina (z tych jeden jego żony). Jest tu jednak i Van Dyck i Rembrandt i Mieris i Breughel i Adryjan van Ostade i wreszcie Terburg — słowem głównie szkoła flamandzka. Prześliczny Szalken, jakiemu równego nie posiada nawet Drezno (choć ich ma kilka), jest także niepoślednią galerji téj ozdobą. Postacie są na nim naturalnéj wielkości, obraz zaś wystawia grupę chłopców i dziewcząt, z wielką uciechą jedzących owoce, przy silnem lampy oświetleniu. Do osobliwości należy tu także kilka obrazów Saftlevena, przedstawiających z niezmierną prawdą grupy samych naczyń z najróżniejszych kruszców, przy stosownéj grze światła. Z innych szkół znajdują się tu jeszcze: Tycjan, Velasquez, Guido Reni (prawie same portrety), oraz bardzo piękny Potter. Daléj, nieco jeszcze płócien nowéj szkoły niemieckiéj jak Sznora i innych. Z pomiędzy tych, wyróżnia się osobliwie znany ze sztychów obraz Rubena, przedstawiający Kolumba w chwili, kiedy wpatrzony w przepowiedziane przez siebie lądy, nie zważa jak mu się do nóg rzucają ci, co nie dawno jeszcze śmierci jego pragnęli.

Jedną też z niepoślednich osobliwości Pragi jest jeszcze *Pałac Wallensteina* (w pobliżu Hradszyna), nie tknięty niemal ręką ludzką od czasu śmierci tego wodza. Jedyna to może w Pradze ruina, nie tyle w ścisłem tego słowa znaczeniu, ile ze względu dziwnego poszanowania, z jakiem pustkę tę na pastwę oddano osamotnieniu i stęchliznie. Sądzę, że powodem do tego musi być potrosze stan zubożenia potomków możnego niegdyś księcia na Frydlandzie, zamieszkała bowiem część siedziby (acz i tak bardzo sobie szczupła) nie zaleca się nawet czystością utrzymania; — jedynego zaś na cały ten pałac sługi ledwie się dokołatać można. Nie szukać tu także dzieł jakiejkolwiek sztuki, chybaby za takowe wziąść w dobréj wierze gipsowe stalaktyty łazienki bohatera, urządzonéj na sposób wnętrza pieczary. Tymże trybem opracowano po jednéj stronie mur ogrodowy na wysokość aż dwupiętrową — szczęściem natura zawstydziwszy się jego dziwactwa, obrzuciła je siecią bluszczów i równiankami dzikiego wina. Sam ogród, niegdyś zapewne kunsztownie nożycami krzesany, dziś zapuszczony chwastem, zdziczały i smutny wygląda jak ktoś, coby zapomniał swojéj mowy, a nie nauczył się cudzéj, — szpalery zdają się strudzone własną samowolą, trawniki zakłopotane zkąd się tu wzięło tyle zielska. Kolumnada z resztą, świątynia w głębi — dużo tam tynku, a jeszcze więcéj drzewa, kiedyś-było to-było ale dziś... Ha! ha! gdyby tak z tego sklepionego krużganku wyglądającego na nielada biesiadną komnatę, za czasu kiedy jeszcze ściany jego błyskały całym przepychem malowideł przedstawiających ustępy z Iliady — gdyby tak powiadam, poprzez kolosalne jego, dziś już zrysowane arkady, przy ogromnym swoim stole siedząc, który już porządnie stoczyły robaki, zwycięzca z pod Frydlandu w obecnéj chwili okiem powiódł po ulubionem zaciszu; jakżeby się zdumiał, widząc: ile to grobowców jak powiada Hugo, jedno źdźbło polnéj trawy, milczeniem wiecznem, oplątać jest zdolne! I coby też powiedział, widząc tuż obok, w lichéj ciupie wypchanego towarzysza, na którym walczył zwycięzko pod Lützen? Połatano mu już boki, dorobiono nogi — ale znowu z grzbietu słoma wyłazi — biedaczysko śmieszny jest — a już tak dawno czasby mu odpocząć! Wprawdzie tuż obok niego wiszą portrety obojga jego państwa —jegomości i jejmości, ale co mu za pociecha, kiedy ich nawet nie widzi, bo go tyłem do nich odwrócono. O wielki Wallensteinie! wartoż było przez okrągłe lat trzydzieści świat do góry nogami przewracać, aby późniéj, we własnych oczach twoich, za pomierną cenę trzydziestu krajcarów, pierwszemu lepszemu przychodniowi pokazywano nędzną skórę końską przez mole i myszy zjedzoną mówiąc mu: nieprawdaż jak musiał być dzielnym człowiek, który siedział na téj szkapie?—Na pierwszem piętrze znajduje się wielka sala ceremonialna. Nie wiadomo co już lepsze: czy opuszczenie reszty pałacu, czy też zbyt usilne odnowienie téj komnaty? W wywoskowanéj jéj posadzce, powtarzają się do góry nogami dziwaczne karjatydy, które aż nadto dosyć raz widzieć, tak dalece nie są ciekawe. Niestety! gdyby dawnemi czasy taką być miała, tedy niewątpliwie pośliznąłby się na niéj nie tylko Tilly, łatwy z resztą do upadku, ale nawet Oktawiusz Piccolomini, i to może właśnie w chwili, w któréj mu oświadczał poufnie bohater z pod Frydlandu: że sobie życzy zostać Czeskim Królem.—Ale oto jeszcze jeden zakątek, do którego cię przewodnik prowadzi. Cóż to takiego? Maleńka, potulna sobie izdebka, z otwartą ścianą od strony kaplicy. Stoi tu klęcznik u poręczy, prosty, twardy, najskromniejszym jak być może mocno już wyklęczanym dywanikiem wybity. Starannie jest pokrowcem okrywany, ztąd najzupełniéj został jak był, zdaje się jakby przed chwilą jeszcze do użytku służył. Wpatrywałem się w niego zadumany; ten jeden sprzęt niepozorny ileż mi się wymownym wydał! I pomyślałem odchodząc: W gmachu tym człowiek się niegdyś gnieździł, ktory sobą jednym całą wypełnił epokę — imię mu było przemoc działania i niezmierna wrzawa w około — dużo marzył, więcéj jeszcze pożądał, niemało wreszcie posiadł, — a oto ze wszystkiego co po sobie zostawiać mniemał, do potomności dalekiéj, to tylko po nim niepożytym spadkiem przeszło, czego on w upokorzeniu ducha zgiętemi kolany dotykał...

PRZEGLĄD

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, TEATRALNY

I RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Obrazy na wystawie. — P. Kossak. Walery Eljasz —Łaszczyński Bolesław — Gerson— Sypniewski.

Pan Kossak wystąpił znowu na Wystawie z nowemi końmi, które przedstawił w trzech ważniejszych chwilach ich życia: kiedy wybornie żywione i utrzymane, skaczą pod wierzchem wedle skinienia powodującego niemi jeźdca, i kiedy ulegając myśliwskim zachciewkom człowieka marzną uwiązane przy płocie, gdy łowcy pod dachem cieszą się kominkowym ogniem, i gdy wreszcie mając zakończyć swój żywot pożyteczny i pracowity, zapełniają place jarmarczne, aby pod zręcznym kierunkiem faktora żydka, przybrać jak najlepszą postać i znaleść kupca nie na samą tylko swą skórę, ale i na resztkę życia jeszcze się w nich kołaczącą.

Dwa olejne nie koniom wyłącznie poświęcone, są to właściwie portrety niemłodego już mężczyzny i młodéj kobiety w amazonce i męzkim wysokim kapeluszu. Taki nawet tytuł noszą, konie zastępują tu miejsce krzeseł, na których usadowił malarz portretowane osoby. Że pomysł to dość oryginalny, nikt nie zaprzeczy, ale czy dobry wątpić należy. Konie muszą tu koniecznie zająć więcéj miejsca od ludzi, a nie mogąc jedynie wypełnić obrazu, muszą także koniecznie mieć jakieś otoczenie, co wszystko niemało zajmuje miejsca. Jeżeli więc obraz zwyczajnych jest rozmiarów, osoby portretowane stają się minjaturami, niknącemi niemal przy większych od siebie koniach i przy znacznie jeszcze większych innych dodatkach. W obu portretach p. Kossaka ma to właśnie miejsce. Gdyby nie podpis że to portrety, łatwo możnaby sądzić że tu konie bohaterami, że malarz chciał przedstawić wierzchowca w lekkim galopie i spokojnym stępie. Zamiłowania koni daléj posunąć nie można.

Dwa drugie obrazki są zrobione wodnemi farbami. Na jednym w porze zimowéj, w okolicy okrytéj śniegiem, przy płocie żerdzianym okalającym zapewne karczemną zagrodę, stoją dwa konie zwyczajnéj rassy w kulbakach, przy jednéj z których wisi otroczony zając, uszczwany przez dwa ogromne charty, nieodstępnych towarzyszy myśliwskich biegunów. Gładkie wysmukłe, kuląc się z zimna zdają się niecierpliwić długą nieobecnością swych panów, którzy sądząc po wierzchowcach należąc do dworskiéj drużyny, przekładają pobyt w ciepłéj karczmie nad uganianie się po zaspach i wertebach za wyszukiwaniem zdobyczy. Koniom zato nie brak cierpliwości i choć wiatr dmie rozwiewając grzywy, stoją spokojnie przymykając oczy i myśląc zapewne o stajennym żłobie, czy też za przybyciem znajdą w nich posiłek tak im słusznie przynależny. W drzemce téj jednak widać że nadsłuchują czy jeźdcy nie wracają, aby skrócić nudę oczekiwania, że przekładają nawet wałęsanie się niewygodne po zagonach, nad stanie i ziębnięcie przy płocie.

Na drugim obrazku, żydek faktor wyjadacz jarmarkowy, z buńdziuczną miną jeźdca pierwszéj szkoły, siedząc na wychudzonéj szkapie z nogami wyciągniętemi sztywno, prowadzi drugą równie nędzną chetkę. Oba koniska ledwo powłóczą nogami, harce jarmarczne dobrze im się widać dały we znaki, popamiętają je długo. Starość, nędza, przegląda u nich przez skórę, kości sterczące, wargi obwiśnięte, a szczególniéj z ócz i pyska szarpanego żelaznem wędzidłem, aby łeb trzymały do góry a nogi spieszniéj zbierały do biegu. Biedne koniska! Czasy parady przeminęły dla nich już dawno, radeby może dać już za wygrane, ale żydek nie chce aby napotykani jarmarczni goście naśmiewali się z jego towaru, więc puszy się, w tył wygina, i z miną zadowolenia pra-

gnie wmówić w każdego, że konie co prowadzi to nie zwyczajne chetki, ale paradjery troszkę zniszczone pracą i wiekiem, ale pod jego ręką warte jeszcze kilku setek jeźli nie całego tysiąca. Smutna to treść obrazu, ale i konie mają chwile swego szczęścia i boleści. Wszystkie zaś obrazki o których dajem sprawozdanie, ładnie odrobione, pełne życia i prawdy, a ostatni z żydkiem nawet wyborny.

Pan Tadeusz Mickiewicza dostarczył znowu treści dla dwóch artystów. Na pierwszym p. Walery Eljasz przedstawił woźnego Protazego, głoszącego zapozew z całem przejęciem się ważnością swego urzędu. Sprytny to szlachcic, na wyrazistéj jego twarzy, maluje się jednocześnie pewność siebie i obawa następstw jakie zna dobrze z doświadczenia. Głosząc słowa prawa, na prawym policzku zmarszczka tworzy dołek, oczy błyszczą pilną na wszystko uwagą, a przedewszystkiem nad zabezpieczniem sobie bezpiecznego odwrotu. Kontusz wybornie odwzorowany, poły u niego wygięte i na haftki założone, aby w ucieczce nie plątały mu nóg, jakich całéj zręczności wkrótce będzie potrzebować. Twarz opalona świadczy, że pan Protazy nie zasypia gruszek w popiele, że pomimo skwaru i niebezpiecznego obowiązku, włóczy się skrzętnie od zaścianku do zaścianku i głosi zagonowéj wioskowéj i magnackiéj szlachcie, posłuszeństwo prawu, które poniewierane z czasem musu wezwie w pomoc. Praca to ładna, talent w niéj artysty jaśnieje niepospolity, i gdyby tylko mniéj sztywnie była przedstawiona, śmiało wyborną nazwaćby ją można.

Pan Łaszczyński przedstawił dwóch dworaków z Soplicowskiego dworu, Protazego i Gerwazego kiedy siedząc na ławce pod kuchennem oknem, prowadzą z sobą rozmowę kończąc ją słowami: — tak, tak Gerwazeńku — tak, tak Protazeńku. Z okna po za niemi do połowy wychyla się mistrz sztuki kuchennéj w fartuchu białym, takimże kaftaniku i czapce na głowie aby dobrze ogarniała włosy zbyt ciekawe do garnków i rądli. I to ładny także obrazek, życia w nim dosyć szczególniéj w Kluczniku, ozdobionym w pasie pękiem kluczy spadającym prawie do kolan. Towarzysz jego starszy, poważniejszy, w białéj czapce zdobnéj czarnym barankiem, siedzi więcéj nieruchomie zdając się nadsłuchiwać mowy Klucznika.

Malarz Grek p. Gersona ma wiele zalet jako praca malarska, jest w niéj staranność, wykończenie, tylko treść nie dość jasno oddana. Na wystawie osłoniętéj z otwartą jednak całą ścianą na ogród, siedzi młody artysta wpatrując się w kilkunastoletnie dziewczę, służące mu zapewne za model, trwożne bojaźliwe, nie ozdobione jednak wdziękiem urody, tak koniecznym w tym razie. Opodal znajdują się sztalugi, każące się domyslać, że mieszczą na sobie obraz którym malarz jest zajęty. Ułożenie artysty, wygięcie jego, ręka z pod tuniki wysunięta, wszystko to bardzo pięknie oddane, nęci i zajmuje. Praca cała niezmiernie udatna, szkoda tylko że w treść tak uboga.

W przeszłem sprawozdaniu, mówiliśmy obszernie o niechęci naszych malarzy do kopjowania obrazów wyszłych z pod ręki mistrzów uznanych za pierwszorzędnych. Pan Sypniewski sądzimy że z korzyścią wielką dla siebie i dla sztuki, mógłby się poświęcić temu zadaniu. Jego Marja z topieliska wyciągnięta, ze wstrętnemi oznakami gwałtownéj śmierci; Schadzka dwojga kochanków pragnących w łodzi do któréj wstępują gruchać lub też nudzić się przy blasku księżyca: Dziewice jezior, które że podpatruje ukryty w gąszczu młodzian dość wydziwić się nie można tak są brzydkie i wymuszone: Cześnik list czytający i przy nim Marja od któréj prędzej uciec można jak zakochać się. Jedyne schronienie niby bardzo dramatyczne nie przemawiające jednak żadnem silnem wrażeniem: Zasadzka tatarska nie wiadomo na kogo? wszystko to dowodzi że artysta do tworzenia treści, nie ma szczęścia. W pracach jednak tych znać zawsze talent, wiele chęci dobrych i pragnienie starannego wykończania szczegółów. Przymioty w te kopjowaniu wiele znaczące, do tworzenia samoistnego nie wystarczają. Czyż więc nie byłoby właściwiéj na pewien przynajmniéj czas, zaprzestać go, a rzucić się do kopji tak upragnionych? Radzimy to szczerze, a dając tę radę najlepiej dowodzimy uznania naszego dla talentu p. Sypniewskiego. Kopjistą być dobrym rzecz to wcale niełatwa a i chlubna wielce.

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego **Michał Gliszczyński.**

(Dalszy ciąg.)

— Wyglądamy jakoś jak jaki urwis od szubienicy.

— Chociaż się nim nie jest, można nim zostać. Mógłbym ci tu w mojéj celi rozbić głowę; jestem trzy razy mocniejszy od ciebie!

— Nie żartujmy az resztą i my także nie ułomek.

— Może się zdarzy sposobność to się sprobujemy.

— Głupstwo! nie jesteśmy niedźwiedziami a brama więzienna to nie patyczek do wykłuwania zębów!

Rozmowa się na tem skończyła, wyszliśmy do fabryki bo nie chciałem zostać w celi i doktora wzywać. Idąc musiałem raz zatrzymać się; zrobiło mi się czarno przed oczami, myślałem że umrę; osłabienie to napadało mię jeszcze kilka razy; dzień był bardzo gorący. Mało co pamiętam z tego dnia, wściekła gorączka grasowała w méj krwi; ciężka choroba powaliła mię na łóżko. Doktór Snelius powtarzał mi, kilka dni temu, siedząc przy moim stole i pijąc wino, że nie może dotąd pojąć, jak mógł człowiek w takim stanie nie tylko utrzymać się na nogach, ale nawet ciężko pracować. Utrzymywał, że był to niezmiernie rzadki przykład, ile to naprężona wola może zdziałać *contra naturam* — przeciw wszelkim prawom natury.

Co ja wtedy wycierpiałem! Wszystko kręciło mi się w około: widziałem ludzi z rydlami, kilofami, drągami, niby zwierzęta niby czarty, a między niemi wysuwała się czasami straszna głowa z rozwartemi ustami i mówiła do mnie: kolego! Słońce nie długo zajdzie! Ja biorę dozorcę ty wachmistrza! Bij prosto w łeb!

Rzeczywiście do zachodu słońca było zaledwie kwadrans czasu; dzwonek wieczorny wnet się odezwie i robota się skończy — nie tylko na dziś ale na długo, bo fundamenta wykopane, mularze zaczną murować, a więźniowie pójdą gdzie indziéj. Ostatni to wieczór, jesteśmy we dwunastu, razem. Teraz lub nigdy!

Ułożyli się że Kasper-kot zacznie z kimś kłótnię, że się do nich inni przyłączą, a kiedy wachmistrz i dwaj dozorcy zaczną ich napominać i do porządku wzywać, nic na to nie zważając, zaczną się bić, ściskać i w ten wir porwą dozorców. Nie wiem czy mnie wciągnęli do siebie, czy ja sam wpadłem między nich: nie wiem czym pomagał dozorcom czy więźniom, alem krzyczał, wył, dwóch ludzi schwyciłem i rzuciłem niemi o ziemię jakby to lalki były. Kasper-kot zbliżył się do mnie i rzekł. Teraz kolego!

W téj stanowczéj chwili, pokazała się w bramie ogrodu wysoka postać ludzka, która szybko biegła na to miejsce strachu i rzezi; był to dyrektor. Młoda dziewczyna piętnastoletnia, którą już widziałem kilka razy przez kratę ogrodu, trzymała go za rękę chcąc go zatrzymać, lub podzielić z nim niebezpieczeństwo: dwaj chłopcy od dziesięciu do dwunastu lat, stali w bramie ogrodowéj i krzyczeli hura! nie pojmując co się działo. Wysoka postać mężczyzny stanęła tuż przy nas. Lewą rękę wyjął z rąk dziewczynki i położył ją na choréj piersi; prawą podniósł ku nam ale nie mógł nic mówić, zadyszany biegiem. Blade jego policzki zarumieniły się, a oczy jego mówiły lepiéj może niż usta. Szaleńcy zrozumieli tę mowę. Oddawna korzyli się przed dyrektorem bo wiedzieli że był miłosierny i sprawiedliwy; nikogo nigdy niesłusznie nie ukarał. Byli na wszystko przygotowani, ale na to nie, że w ostatniéj chwili spotkają się z dyrektorem. Czuli że zamiar ich przepadł, że przegrali grę. Tylko jeden Kasper-kot nie uląkł się; nie cofnął. Stawił wszystko na kartę a kto wie może to i lepiéj, bo jak dyrektor padnie nie żywy, nikt ich już nie potrafi zatrzymać. Dziki wydawszy krzyk, rzucił się z kilofem na stojącego w blizkości; dziewczyna zasłoniła ojca, żeby odwrócić cios grożący drogiemu życiu, ale ktoś drugi, a tym byłem ja, szybszy i silniejszy od niéj, zatrzymał ramię zbrodniarza, kilof spadając uderzył go w głowę, to fraszka w porównaniu z tem co się w niéj działo.

— Przeklęty psie! ryknął Kasper-kot, zdradziłeś nas! — podniósł się, ale w téj saméj chwili leżał już na ziemi a na piersiach klęczał mu szaleniec, którego siły gorączka ogromnie naprężyła, któremu w téj chwili żaden człowiek nie potrafiłby się oprzeć. Widział na chwilę straszne oczy Kaspra-kota; potem czuł, że go ktoś oderwał od zbrodniarza, a potem ciemna noc zapadła nad nim.

ROZDZIAŁ XIX.

Głęboka, ciężka noc! Dalszy ciąg owych okropnych widzeń! kiedy niekiedy jednak wpadał słaby promyk światła w te ciemności, wtedy przerażające postacie bledną a jakieś milsze na ich miejsce występują. Czasami zalega znowu noc ale już nie straszna, przeciwnie jakieś tonienie w błogiéj nicości, z któréj kiedy się wynurzyłem, widziałem znowu jakieś ładne przedmioty i mogłem je już po trochu, wyróżnić. Widziałem już teraz że kiedy pewne siwe faworyty migają mi się przed oczami to jest znak, że tam jest ktoś co sobie mruczy pod nosem, a czasami wydawało mi się jeszcze, że to faworyty tak mruczą. Kiedy znowu faworyty są ciemne to słyszę tak miły dźwięk głosu, że chciałbym się uśmiechnąć, bo jak siwe faworyty gadają tobym się chciał śmiać na całe gardło. Ale nie mogłem się śmiać bo nie miałem ciała, byłem bańką mydlaną, która z domu mojego ojca wyleciała w świat. Potem widziałem okulary jakieś, które mię dużo nadręczyły. Kiedy są niebieskie to wyglądają jak kobieta, a kiedy są białe wyglądają jak mężczyzna, a głosy tych okularów są jak muzyka anielska, tylko głos niebieskich jeszcze milszy, jeszcze czulszy niż głos białych. Nie mogłem nic uporządkować tych widm i zasnąłem, a kiedym się przebudził widziałem znowu ciemne faworyty nachylone nademną, podobniuteńkie do jakichś, które już dawniéj widziałem, tylko nie wiem gdzie? i kiedy? Patrząc na tego znajomego nieznanego czułem dziwną rozkosz i boleść, zdawało mi się żem mu bardzo dużo winien, że mu trzeba podziękować i powolutku, bom prawie nic sił nie miał, przyciągnąłem jego rękę do moich ust, zamknąłem oczy i ciepłe łzy polały się po moich policzkach. Chciałem coś powiedzieć ale nie mogłem, a kiedym oczy otworzył ciemnych faworytów już nie było, pokój był próżny; zdziwiony obejrzałem się na około.

Był to dosyć duży pokój o dwóch oknach, firanki były zapuszczone a za niemi biegały liście dzikiego wina. Przypatrywałem się długo téj grze ruchów, był to istny obraz moich myśli, które Bóg wie gdzie bujały, nie mogąc się zebrać w jeden punkt. Spojrzałem znów na pokój, tym razem oczy i myśli miały na czem spocząć. Był to śliczny obraz przedstawiający młodą kobietę z dzieckiem na kolanach. Oczy matki były łagodne i łzawe a oczy chłopca, dosyć już sporego utonęły gdzieś w dalekości. Nie mogłem oderwać oczów od tego obrazu, było to serdeczne uwielbienie, bo nie wiedziałem nic o oryginale, nie wiedziałem że to kopja z obrazu największego z malarzy. Pod obrazem wisiała etażerka z książkami, pod etażerką stała komoda staroświecka a na niéj koszyczek z kobiecemi robótkami. Między oknem i komodą stały sztalugi a na nich odwrócony rajsbret. Po drugiéj stronie drzwi stał fortepian także staroświecki.

Nie wiem dla czego przyszła mi na myśl Konstancja, zapewne dla tego że deka fortepjanu miała kształt gitary, bo zresztą nie przypominał ten pokój niczem Konstancji. Tam było wszystko w nieładzie i podarte, tu wszystko czyściutkie i porządne. W całym zamku Zehrenów nie było pokoju tak miłego, tak jasnego. A z resztą przypomniałem sobie że zamek się spalił,— gdzież więc jestem? Spojrzałem na piękną panię na obrazie jakbym się od niéj chciał dowiedzieć, ale patrząc na tę postać myślałem sobie że jak to słodko się zasypia kiedy takie oczy nad kim czuwają! A dla czego chłopiec nie położył głowy na piersiach matki? dla czego nie zamyka oczów i nie śpi?

Długi i spokojny sen wzmocnił mię bardzo, kiedy się obudziłem, nie namyślając się podniosłem się i trąciłem o ramię wachmistrza Zismilcha, który siedział na mojem łóżku. Poznałem siwe faworyty. Stary patrzał na mnie zdziwiony, po mału zajaśniał w jego oczach radosny uśmiech, przyłożył trzy palce prawéj ręki do czoła i rzekł: Serviteur!

Wyglądało to tak zabawnie, żem się na głos rozśmiał, stary śmiał się także i rzekł:

— Czyśmy dobrze spali?

— Paradnie! A czy długo spałem.

— Nie bardzo długo — tylko ośm tygodni.

— Ośm tygodni! To bardzo długo! i tarłem ręką czoło. Miałem dawniéj głowę pokrytą gęstemi ale miękkiemi włosami, teraz było na niéj coś do szczotki podobnego, z głębokiemi szczerbami.

— To dziwna rzecz! rzekłem.

— To odrośnie, odpowiedział wachmistrz i mnie tak kiedyś ogolili do skóry, kiedym dostał ot to — i pokazał na głęboką szramę, którą miał w skroni. A przecież odrosły mi włosy jak szopy niedźwiedzie.

— Z siedmioma zmysłami! Zdaje mi się że mam głowę dziecka na barkach olbrzyma.

I śmiał się stary, ale nagle spoważniał i odezwał się.

— Teraz milczeć i spać jak...

Nie dokończył ulubionego frazesu, zapewne żeby mię nie pobudzić do śmiechu,— ale mimo to śmiałem się znowu zawijając rękaw od koszuli, który mi za daleko zaszedł. Rękaw nie był dłuższym ale ręka mi schudła bardzo, myślałem że to nie moja.

— To nic! zgrubieje znowu,— zauważył wachmistrz.

— Czy ja bardzo byłem chory?

— Dosyć! uderzenie kilofem było porządne, ale ja powiedziałem, złego licho nie weźmie,— i zacierał sobie ręce z radości. Ale dosyć już nagadaliśmy się, dodał rozkazującym tonem, są ostre przykazy, żeby kiedy się obudzimy, nie wdawać się w żadne dysputy a zaraportować zaraz co daléj robić!

Wachmistrz chciał wstać, położyłem mu rękę na jego obrosłéj ręce i zacząłem go prosić, żeby jeszcze został, że mówienie o tem nie męczy mię wcale a rad bym się dowiedział, jakim sposobem doszedłem do tego położenia w jakim się znajduję, co za jedni byli ci ludzie, co ich przy sobie, przez mgłę gorączkowych marzeń widziałem, czy nie ma tu gdzie jakiego wielkiego brytana, który mię pilnował i ciągle mruczał?

Stary spojrzał na mnie bystro, jak by myślał, że nie dobrze tam jest jeszcze pod tą szczotkowatą czaszką i że trzeba iść zaraportować. Położył moje ręce na kołdrze i rzekł: tak, tak, potem poprawił mi poduszkę i rzekł znowu: tak, tak spać!..

Zrobiłem mu tę przyjemność i zamknąłem oczy i słyszałem jak po cichu wstał i wyszedł na koniuszczkach palców. Kiedy się drzwi zamknęły, otworzyłem oczy i rezolutnie zabrałem się do tego, żeby sobie sam odpowiedzieć na pytania, które staremu zadałem.

Bardzo powoli ale ciągle rozwiewała się z mé myśli pamięci noc zapomnienia, spowodowana przez chorobę. Przypomniałem sobie żem był, i dla czego, w więzieniu, że stary mężczyzna nie jest moim przyjacielem ani opiekunem ale dozorcą, żem długo chodził z tą myślą żeby go zabić jeżeli mam być wolnym — i wszystko, aż do tego strasznego dnia, który już ginie w ciemnościach, a który został w méj myśli aż dotąd i nigdy już nie zniknie. Łaska rozumu i rozwagi nastąpiła teraz! Poczułem że dawna nienawiść, rozjątrzenie, zawziętość, rozpacz i wściekłość namiętności i wszystkie piekielne demony, wygnane zostały z méj duszy przez anioła z ognistym mieczem,— zapewne przez anioła śmierci, który się nademną unosił.

Kiedym tak leżąc rozmyślał i patrzał na młodą, ładną kobietę, która trzymała w objęciach chłopca, przyszła mi na myśl moja własna, zawcześnie zmarła matka. Wszystko byłoby inaczéj gdybym był za młodu miał jéj opiekę nad sobą, gdybym był mógł znaleźć na jéj łonie radę i pociechę w moich młodych zwątpieniach i cierpieniach. Myślałem także i o ojcu moim, ale tym razem bez żadnego już rozjątrzenia, myślałem jak on tam teraz samotny i znękany i żal mi się go strasznie zrobiło. Ale przecie żyć jeszcze będzie i ja jeszcze nie umarłem i wszystko da się jeszcze odrobić, jak tylko wyjdę z więzienia!

Z więzienia! A czyż to jest więzienie gdzie teraz jestem? Pokój ładny, kraty z gałęzi dzikiego wina, obraz młodéj matki i fortepian. Nie jest-że to pokój jakiejś spokojnéj mieszkanki.

Mieszkanki. Zkąd mi ta myśl przyszła? Bo widziałem kobiecy koszyczek a w nim pełno kolorowych włóczek. Cóżby tu robił w pokoju mężczyzny kobiecy koszyczek pełen włóczki? Myślałem i myślałem i nie mogłem tego zrozumieć. Jakaś mgła zaczęła mi znowu na mózg padać i zasłaniać ten piękny krajobraz. Strach mię ogarnął czy on mi na zawsze nie zniknie, czy ja go jeszcze kiedy zobaczę, czy usłyszę jeszcze ów dźwięczny głos, a tak łagodny i owe mruczenie wiernego brytana? Z tą obawą zasnąłem.

Kiedym się obudził była jeszcze noc, astralna lampa stała na stole i świeciła przyćmionem światłem. Przy mojem łóżku siedział ktoś, nie mogłem wiedzieć kto to, bo głowę ukrył w rękach, kiedym się poruszył, głowa się podniosła a ów miły głos, którybym między tysiące odróżnił zapytał się:

— Jak się pan ma?

Poznałem osobę! Dziwna rzecz! w jednéj chwili, nie rozważając wcale, jak gdyby mi kto obszernie opowiedział, odgadłem że dom w którym mię jak własne dziecko pielęgnowano, był domem dyrektora, który pewno nie pierwszy raz siedział przy mojem łóżku i czuwał nademną,— a teraz przemawia do mnie tak jak ojciec do syna. Nachyliwszy się ku mnie, ujął mię za rękę i mówił do mnie słowami, które mi przygłuszał inny znowu głos, coraz mocniejszy:

— Nie zasługuję na to! I nie mogłem przydusić tego głosu zawołałem sam głośno: „Nie zasługuję na to.“

— Jesteś moim przyjacielem, mówił łagodny głos, chociaż może sam o tem nie wiesz.

— Nie, nie jestem nim! odpowiedziałem a serce biło mi mocno. Nie wiesz pan kim się opiekujesz, nie wiesz pan czyją rękę trzymasz w swojéj!

Idąc za owym nieprzepartym naciskiem, który w nas szlachetne uczucia rozbudza, wyznałem mu całą moją winę. Żem oddawna myślał nad tem żeby się koniecznie z więzienia wydobyć, żem nie wywoływał wprawdzie alem znosił zbliżenia strasznego człowieka, żem wiedział o spisku i o godzinie wybuchu i że wreszcie, nie wiem dla czego, zabrakło mi odwagi w stanowczéj chwili i obróciłem się przeciwko tym, których sobie dobrowolnie za towarzyszy wybrałem i których za moich współwinowajców uważam.

Dyrektor słuchał spokojnie mojego opowiadania, ale ile razy chciałem cofnąć ze wstydu moją rękę, tem silniéj ją ściskał. Kiedym skończył odezwał się, a słowa jego dziś jeszcze nie raz słyszę:

— Kochany chłopcze! Nie to, co nam nasze mniemania, wola i pragnienie za konieczne podsuwają, nie to, co nam się zdaje żeśmy robić powinni, nawet nie to cośmy postanowili zrobić, robi nas tem czem jesteśmy, ale to co rzeczywiście robimy. Tchórzowi zdaje się że jest bohaterem, dopóki dana okoliczność nie przekona go że jest tchórzem. Człowiek zimny i roztropny chełpi się że w żadne niebezpieczeństwo nie popadnie, a niech nagle usłyszy rozpaczliwe wołanie „ratuj! a rzuci się na oślep w wodę i w ogień. Myślałeś że możesz podnieść rękę na bezbronnego, a kiedyś ujrzał owego bezbronnego w rękach mordercy stanąłeś w obronie bezbronnego przeciw mordercy. I nie mów, żeś nie wiedział co robiłeś! A jeżeliś nie wiedział co robiłeś toś szedł za popędem własnéj natury, byłeś w owéj chwili samym sobą. Ja i wszyscy moi, teraz i zawsze, będziemy pana uważać za człowieka, który z własnem niebezpieczeństwem uratował mi życie.

— Robisz mię pan nieporównanie lepszym, niż jestem rzeczywiście.

— A gdyby tak było! czyż może być szlachetniejsze zadanie jak poprawić człowieka? Utrzymujesz, że mam cię za lepszego niż jesteś, niech tak będzie! Czy miał kto więcéj sposobności odemnie do przekonania się, że najpewniejszym środkiem do poprawy człowieka, jest uważać go za lepszego niż jest. Oby to mogło stać się, żebym tę tajemnicę mojego rzemiosła, mógł tak łatwo i z tak ogromnym skutkiem sprawdzić na innych jak na tobie! A czyż potrafię, czego sobie z całego serca życzę, oczyścić szlachetny kruszec twojéj natury, z różnych plam, które na niéj widzę jeszcze? Czyż potrafię objaśnić cię o samym tobie? Wskazać ci drogę życia, na któréj się zabłąkałeś, słowem uczynić cię tem czem być możesz i być powinieneś. Będzie to tylko sprawiedliwość dla wynagrodzenia niesprawiedliwości, która cię tu osadziła będzie to spełnienie długu wdzięczności, który zaciągnąłem wprzód zanim noga tu twoja stanęła, wprzód zanim ocaliłeś ojca moim dzieciom.

I brzmiał mi ten dźwięczny głos w uszach jak głos dobrego ducha, który w nocy przemawia do duszy, potrzebującéj ratunku. Leżałem nie ruszywszy się i nie spuszczając z niego oczów, w nadziei że jeszcze będzie mówił, i mówił też daléj.

Może to egoizm z mojéj strony robić to, co teraz robię: Korzystać z chwili kiedy twoja dusza przebudza się znowu do życia i skłonną jest patrzeć na świat oczami nowo narodzonego dziecięcia i zmusić cię żebyś mię poznał i pokochał jak ja ciebie znam i kocham. Patrzysz na mnie zdziwiony, a jest to bardzo prosta rzecz. Znałem cię wprzód nim tu przybyłeś; kochałem bardzo najstarszego brata, chociaż dziećmi tylko byliśmy razem i dopiero niedawno temu znowuśmy się zbliżyli. Był w nim materjał na piękną, szlachetną i tęgą ludzką duszę, natura była wyborna, a świat i namiętności zaprowadziły ją na bezdroża. Możesz sobie wyobrazić jak mię zabolała jego gwałtowna śmierć i z jaką chciwością śledziłem wszystkie przyczyny i szczegóły téj śmierci. Czytałem akta procesu, w których twoje nazwisko znalazłem. Nie raz z obowiązku muszę szperać po tych aktach i nauczyłem się rozumieć w nich każdy wiersz, każde słowo. Ta umiejętność nigdy mi potrzebniejszą nie była jak w tym razie, bo nigdy prawnicza mądrość, a raczéj niemądrość, ogołocona zupełnie z psychologicznych poglądów, nie zgrzeszyła tyle co względem ciebie, nigdy żadna ręka nie zrobiła obrzydliwszéj karykatury z twarzy szlachetnego ale nierozważnego młodzieńca. W każdym rysie skargi, śledztwa i wyroku mogłem łatwo dojrzeć fałsz, naciągania i zaślepienia. Gdyby tu nawet nie chodziło o mojego najukochańszego brata, za którego pokutujesz, gdyby ten proces był najobojętniejszym dla mnie, byłbym zawsze przyjął twoją stronę i starał się ocalić cię gdybym mógł. Alem nie mógł! tyle tylko dokazałem że cię tutaj przysłali zamiast do R.

— Przybyłeś; zobaczyłem cię takim, jakim sobie wyobrażałem, jakim cię w mojéj myśli namalowałem, młodzieńca, który żeby uratować mego brata, sam wpadł w brzydką sprawę, który się sam wydał sądowi, żeby ludzie nie posądzali jego ojca, że ukrywa syna, który sam naumyślnie, pogorszył bardzo swoją sprawę, bo z oburzeniem odrzucał żądanie żeby wydał swych wspólników, którego otwartość w innych względach każdeby serce poruszyła, ale nie poruszyła ogłupiałych biuralistów, młodzieńca którego pod pieczęcią prawa shańbiono, którego wolną myśl w zatęchłéj zamknięto celi i zmuszono, jak mówi mój ulubiony poeta: „pić nienawiść do ludzi z pełnéj czary miłości.“ Było to godnem ciebie, żeś nie ukrywał téj nienawiści, żeś wszystko, coby inni obiema chwytali rękoma, z dumą odrzucał. Skończę krótko! Choroba, która już oddawna w tobie siedziała tłumiona tylko silną naturą, wybuchła. Chciałeś w szaleństwie pokazać ludziom co z ciebie zrobili, a jednak zostałeś jakim byłeś. Na pół umarłego wyniesiono cię z miejsca mordu, przywołany doktór oświadczył, że jest nadzieja, ale mi się zdaje że tylko najtroskliwsze starania uratować cię mogły. A gdzież mogły się one znaleźć jeżeli nie u mnie w domu? Któż mógł czuléj pielęgnować cię jak ten, któremu życie ocaliłeś? Co mnie miały obchodzić przepisy tego domu? Co mnie miały obchodzić gadaniny ludzkie? Zanieśliśmy cię do pierwszego lepszego pokoju, my, to jest: moja żona, moja córka, wierny Zismilch i doktór, którego pokochasz, bo zasługuje na to. i wreszcie ja, który biłem się całemi siłami ze śmiercią, która tobie groziła.

Kobiety płakały, mężczyźni ściskali się z radości, gdy silna natura twoja pobiła nieprzyjaciela, kiedy doktór przed ośmioma dniami przyszedł do nas i powiedział: uratowany. A teraz kochany mój przyjacielu dosyć już będzie na dziś. Jeżeli z naszéj rozmowy przyjdziesz do tego przekonania i zaśniesz z ta myślą, że się znajdujesz między przyjaciółmi, którzy cię kochają, będzie to wszystko czego pragnę. Słyszę, że Zismilch nadchodzi, chciałem go na dzisiejszą noc zluzować, ale on utrzymuje że nie powinien opuszczać swojego więźnia. Spij spokojnie! Pogłaskał mnie lekko po czole i po oczach i wyszedł z pokoju. Cała moja dusza wypełniła się jego słowami: nikt nigdy tak do mnie nie mówił jak on. Wydało mi się że moje piersi wyschłe skutkiem długiéj choroby. przyjęły w siebie jakiegoś czystego, jasnego ducha. Było to tak wielkie szczęście że długo trwać nie mogło! Starałem się wszelkiemi siłami zatrzymać je w sobie, jak się stara zatrzymać w myśli ulubioną melodję. Nie ruszałem się wcale, nie otwierałem oczów i zasnąłem tak błogo, jak gdyby anioł miłosierdzia i dobroci rozwinął nademną swoje skrzydła.

ROZDZIAŁ V.

W cienistym ogrodzie przeznaczonym wyłącznie dla dyrektora i jego rodziny znajdował się mały domek, który rodzina okazałem nazwiskiem Belwederu uczciła. Śliczny bo był widok z okien na miejskie wały, na zatokę morską i na większą część wyspy — gdyby można było okna otworzyć.

Ale okna były bardzo wązkie z małemi w ołów oprawionemi szybami i kształtu jaki już rzadko napotkać można. Sam domek nawet nachylał się już do upadku, bo drzewo z którego był wybudowany nie mogło się oprzeć wpływowi słońca, deszczu i morskiego wiatru. Za to plac przed domkiem był rozkoszny, i tutaj to cała rodzina przepędzała wszystkie godziny wiosny, lata i jesieni. Plac ten zasługuje na uwagę. Po nad niezbyt wysokie mury dolatywał tu orzeźwiający powiew morskiego wiatru, a przez gęste kasztany otaczające go na około, rzadko gdzie przedzierał się promień gorącego letniego słońca. Odstępy między kasztanami wypełniała zielona ściana z żywego płotu, przy której w różnych miejscach odbijało się sześć posągów z piaskowca. Dwa okrągłe stoły z brzozowego drzewa i kilka około nich krzesełek zachęcały do marzenia i do pracy.

W czternaście dni po pierwszem mojem wyjściu z pokoju, w czasie pięknego dnia Sierpniowego siedziały tam dwie osoby. Jedna z nich zajęta była marzeniem —jeżeli marzenie można nazwać zajęciem, druga rzeczywiście pracowała bardzo gorliwie; marzycielem owym byłem ja sam, a lekka kołdra którą miałem okryte kolana oznaczała, że dotąd uważany byłem jeszcze za rekonwalescenta, któremu wolno marzyć ale nie wolno pracować. Drugą osobą było młode piętnastoletnie dziewczę, która rysowała na rejsbrecie głowę naturalnéj wielkości. Oczywiście musiała często spoglądać na oryginał i żeby prawdę powiedzieć, jéj to spojrzenie i jéj oczy były przedmiotem mego marzenia.

W saméj rzeczy nie trzeba było być na to dwudziestoletnim młodzieńcem a do tego rekonwalescentem, a nadewszystko przedmiotem spojrzeń tych oczów, z właściwym sobie wyrazem to stałym, to wątpiącym, to na zewnątrz, to na wewnątrz skierowanym, nie potrzeba było powtarzam tych przyczyn, żeby być pociągniętym przez te śliczne oczy. Były to wielkie, niebieskie i głębokie oczy, na których powierzchni wybijało się każde wzruszenie umysłu, każde jasne światło, każdy cień, a mimo to było jeszcze w nich coś takiego co było niezgruntowane.

Już raz, niedawno temu, patrzałem w takie niezgruntowane oczy, ale jak one różne były od tych. Czułem dobrze tę różnicę chociaż nie wiedziałem na czem ona polega. Wiedziałem tylko że te tu oczy nie niepokoją mnie, nie przyprawiają o obłęd, nie rozpalają dziś, a jutro nie rzucają w zmarzłą wodę, przeciwnie mogłem się ciągle w nie wpatrywać, jak się kiedyś wpatrywać będziemy w niebieską spokojność, żadne życzenie, żadna żądza nie budzi się w nas chyba ta jedna żeby dostać skrzydeł i ulecieć do nieba.

Co jeszcze wielkie głębokie oczy dziewicy, czyniło jeszcze większemi i głębszemi, zapewne ta okoliczność, że były najpiękniejszą rzeczą w jéj twarzy. Niektórzy mówili że to była jedyna jéj piękność, nie rozbierałem tego wtedy a tem mniéj teraz z powodów, o których się może czytelnik wkrótce dowie. Rysy dziewicy nie były wcale regularne, nie miały w sobie nic uderzającego, ale za to były pełne szlachetności, rozumu i łagodności. Usta jéj małe zdawały się mówić chociaż wargi się nie poruszały. Gęste i długie blond włosy, uczesane nie podług teraźniejszéj chimerycznéj mody, spadały w ślicznych warkoczach na ramiona i zdawały się ciężyć głowie, która się na bok pochyliła.

Ta postawa, w połączeniu ze zwykłą powagą twarzy, czyniły dziewicę o kilka lat starszą niż była rzeczywiście. Tak jest! praca i troski odpędzają prędko swobodę młodości, i ona od dzieciństwa już wiedziała co to jest praca i na jéj młodem życiu zalegała cieniem nie byle jaka troska.

W téj chwili jednak uśmiech przeleciał po jéj ustach, spojrzała się na mnie i rzekła:

— Jeżeli pan chcesz to możesz wstać.

— Czy już pani skończyła? odpowiedziałem przystąpiwszy do jéj krzesełka. Ale co u Boga! dotychczas robisz jeszcze oczy. Zkąd pani bierze tyle cierpliwości?

— A pan tyle niecierpliwości, odpowiedziała rysując daléj, pan robisz zupełnie tak samo jak nasz mały Oskar, kiedy zasadzi groch to go w pięć minut potem odkopuje żeby zobaczyć czy już urósł.

— Bo też ma dopiero siedem lat.

— To dosyć żeby wiedzieć że groch nie może urość w tak krótkim czasie.

— Pani łajesz zawsze Oskara a jednak jest on pani ulubieńcem.

— Kto panu powiedział?

— Bonuś powiedział mi wczoraj ale pod wielką tajemnicą i z warunkiem, żebym pani nie powtórzył tego.

— I nie powinieneś pan był powtarzać.

— A jednak ma słuszność.

— Nie! nie ma słuszności, Oskar jest najmniejszy i dla tego muszę się nim najwięcéj zajmować. Bonuś i Karol mogą sobie już dać bezemnie radę.

— O tak zapewne! a ćwiczenia kto im poprawia?

— No usiądź, usiądź pan napowrót.

— Ale przecież mówić mogę?

— Możesz pan!

Usiadłem napowrót i przypatrywałem się milczący pracy dziewicy. Promień wieczornego słońca przedarł się przez gęste liście kasztana, padł na jéj głowę i otoczył ją jakby jakąś aureolą.

— Panno Wando! odezwałem się:

— Wando — poprawiła mię nie podnosząc oczów.

— A zatem Wando!

— Czego chcesz?

— Chciałbym mieć taką siostrę jak ty.

— Przecież masz siostrę.

— Daleko starsza odemnie i nigdy się mną nie zajmowała, a teraz zupełnie może zapomniała o mnie.

— A gdzie ona jest teraz?

— Przy polskiéj granicy. Już dziesięć lat temu jak poszła za mąż za urzędnika celnego i ma dużo dzieci.

— To musi mieć dużo kłopotów, nie gniewaj się pan na nią.

— Nie gniewam się wcale, jest ona już zupełnie obcą dla mnie, przeszedłbym koło niéj na ulicy i nie poznałbym jéj.

— To nie dobrze, rodzeństwo powinno się kochać? Zdaje mi się że gdybym za kilkanaście lat spotkała Bonusia lub Karola, a oni by mnie nie poznali to byłabym bardzo nieszczęśliwa.

— Już oni panią poznają i za pięćdziesiąt lat.

— Byłabym już wtedy starą kobietą a taką starą nie będę nigdy.

— Dla czego nie?

— Bo wtedy chłopcy będą już oddawna dorosłymi mężczyznami, będą mieli żony i dzieci, mój ojciec i moja matka już dawno umrą, cóżbym sama robiła na tym świecie?

— A!... Pójdziesz za mąż!

— Nie! odpowiedziała, a to *Nie* brzmiało tak poważnie, jéj wielkie niebieskie oczy z takim spokojem i stałością zwróciły się na mnie, żem się nie mógł śmiać chociaż miałem do tego wielką ochotę.

— Dla czego nie? Zapytałem się.

— Bo chłopcy mnie jeszcze bardzo potrzebują.

— Przecież nie możesz ciągle poprawiać im ćwiczeń.

— Nie wiem dla czego zdaje mi się, że ja to będę zawsze robić!

— Nawet wtedy kiedy się będą uczyć po łacinie i po grecku?

— Po łacinie już się uczę z nimi, dla cegoż bym się nie miała uczyć po grecku.

— Greczyzna jest strasnie ciężka: powiadam ci Wando te nieregularne słowa — temu nikt nie poradzi chyba jaki nauczyciel gimnazjum, to też ja ich nigdy za zupełnych ludzi nie miałem.

— Otóż znowu jeden z twoich żartów; dobrze że go Bonuś nie słyszał: on chce być nauczycielem.

— Zdaje mi się, że można będzie wybić mu to z głowy.

— Nie rób tego! Dla czego nie ma być nauczycielem kiedy ma ochotę i zdolności do tego. Nie znam nic milszego jak uczyć kogo tego co mu może być i dobrem i pożytecznem. A nawet jest to bardzo dobry zawód w położeniu takiem jak Bonuś. Ojciec innego jest zdania: pragnie żeby Bonuś był doktorem albo naturalistą. Ale podług mnie jest to kosztowna nauka a ojciec może nie będzie wstanie — bo i dziś już nie wszystko dobrze nam idzie, a najgorzéj zdrowie ojca! Wanda schyliła głowę na rajsbret i jeszcze pilniéj rysowała: widziałem tylko że dwa czy trzy razy obtarła sobie chustką oczy. Ruch ten zakrwawił mi serce, bo wiedziałem ile to starań ponosi Wanda około zdrowia swego ojca i około gospodarstwa domowego.

— Panno Wando! rzekłem.

Tym razem nie poprawiła mnie bo może nie słyszała.

— Panno Wando, powtórzyłem, niepotrzebnie się pani oddaje tym smutnym myślom. Ojciec pani może nie jest tak bardzo słaby, a czy to pani nie wiesz jacy to ludzie są ci Zehrenowie. Radca skarbowy chociaż jest słabowity, może się jeszcze dobrze wydać przy innych ludziach, sam pan von Zehren, który był jakby ze stali, nie raz mawiał, że jego najmłodszy brat mógłby dwóch takich jak on pokonać. A czy pani nie słyszała ile to razy powtarzał doktór Snellius że silna natura stanowi wszystko, i ja to samo utrzymuję.

— Jeżeli pan tak mówisz to musi tak być.

Spojrzała na mnie, a melancholiczny uśmiech zaigrał na jéj zachwycających ustach.

— Pani się zdaje że taka biedota jak ja, nie powinien wcale o siłach mówić.

— O nie! Wiem że pan byłeś silny przed ostatnią chorobą i wkrótce odzyskasz dawne siły, żebyś się tylko oszczędzał co nie zawsze robisz. Powinieneś na przykład okrywać się ciągle kołdrą, a ot właśnie spadła panu z kolan, ale...

— Ale... odrzekłem okrywszy znowu prędko swoje kolana kołdrą.

— Ale mi się zdaje że to nie jest koniecznie prawdą, żeby silna natura stanowiła wszystko. Karol jest z pewnością najmocniejszym z braci, a przecież Oskar pisze, czyta i rachuje, tak biegle jak Karol, chociaż jest o cztery lata młodszy od niego.

— Dla tego też jest ulubieńcem pani.

— To nie ładnie z pańskiéj strony! rzekła Wanda. A powiedziała to tak łagodnym i przyjaznym tonem, bez najmniejszego śladu zgryźliwości że czułem jak mi krew uderzyła na policzki. Wydało mi się jakbym wybił bezbronne dziecko.

— Rzeczywiście nie było to ładnie z mojéj strony! wyrzekłem gwałtownie, było to szkaradnie, sąm nie wiem jak mogłem względem pani być tak rubasznym, ale oddawna tak często pokazywano mi pilnych chłopców za wzór i w dodatku tyle mnie nałajano, że mi zawsze krew do głowy bije gdy coś podobnego usłyszę. Zawsze mi wtedy przychodzi do głowy myśl że jestem głupi.

— A i to nie pięknie co pan mówisz.

— No to może to będzie pięknie, kiedy powiem, żem się źle uczył i nie wiele umiem.

— O tem możesz pan tylko sam sądzić jeżeli tak jest.

— Tak jest! To strach jak ja mało umiem. O greckiem niema co mówić, był on tak trudny dla mnie, że nieraz myślałem sobie że go nauczyciele wymyślili na to żeby nas męczyć. I w łacinie niedaleko zaszedłem, a w tem to już moja wina, bo widziałem przecież że Artur, który wcale nie był mędrszym odemnie, doskonale go obrabiał kiedy chciał. Angielskie książki, których pani tak dużo czytasz, są dla mnie zupełnie jakby greckie, a po francuzku nie wiem nawet dobrze czy potrafiłbym odmieniać *avoir* i *être*. A wczoraj! kiedy Bonuś nie mógł sobie dać rady ze swemi przykładami, prosił mnie żebym mu pomógł, musiałem mu odpowiedzieć żeby sam robił, bo dziś przyznam się pani, że nie wiedziałem nawet od czego zacząć. I kiedy chłopiec sam się dobrał do rezultatu, wstyd mnie ogarnął przed jedenastoletnim chłopcem, jakiego nie uczułem w obec doktora Busza, naszego matematyka, który ciągle na moich cenzurach pisał jak następuje: bardzo źle, bardzo dobrze *przepisane*.

Kiedym tak otwarcie spowiadał się z moich grzechów, Wanda spoglądała na mnie swojemi ślicznemi, niebieskiemi oczami i poruszała główką jakby nie wierzyła uszom swoim.

— Jeżeli to prawda tylko.....

— Dla czego pani mówi zawsze: jeżeli? Chociaż się źle uczyłem, nauczyłem się przynajmniéj tego żeby prawdę mówić: A przed panią za nic w świecie bym nie skłamał.

(d. c. n).

KURSA NAUKOWE WYŻSZE

DLA MŁODYCH PANIEN W PARYŻU.

Godnem jest uwagi, iż wśród tylu niewieścich głosów, hałaśliwie dopominających się o *równouprawnienie* czy *emancypację* kobiety, ani jeden nie woła o reformę najpożądańszą i najpilniejszą, dotyczącą edukacji młodych panienek. Nieustraszone szermierki walczą bohatersko, zbrojne w cały arsenał broni zaczepnéj, by na wzór zamorskich siostrzyc, zdobyć sobie prawo przywdziania doktorskiego biretu, togi adwokackiéj i zasiadania na katedrze w szkolnéj auli. I na tem im nie dosyć. Domagają się jeszcze uczestnictwa w kierowaniu sprawami publicznemi. A na téj drodze czyż dałyby się postawić granice, dla nienasyconéj ambicyi podłechtanéj powodzeniem na jednym i drugim punkcie? Potrzeba by tylko przypomnieć sobie iż amerykańskie kobiety, co pierwsze wśród niewieściego rodu zajęły stanowiska, uważane dotąd za wyłączny mężczyzn wydział, zdolne są współzawodniczyć na tem polu z drugą połową rodzaju ludzkiego, bo nie są niższe od niéj oświatą ani nauką. Ależ na naszéj półkuli, nie powiem już większość, lecz ogół kobiet jakże zacieśniony ma zakres umysłowego wykształcenia! Trafia się tu i owdzie wyjątek, jakiś umysł czynny i samodzielny, co o własnych siłach wydarł się z tego ciasnego koła i przyswoił sobie szersze i gruntowne wiadomości w téj lub owéj gałęzi nauk. Lecz czyż dla wyjątków, prawa mogą być stanowione? A nawet i w tych wyjątkach, mimo naukowéj wiedzy, jak rzadko można trafić na jasną znajomość potrzeb czasu, warunków bytu i rozwoju społeczeństw i zasadniczych ludzkości podstaw. Promotorki wielkiego dzieła zbierają się na sessye występują w publicznych konferencyach, wydają dziennik pod tytułem *prawa kobiet*. Na to wszystko praktyczny zmysł francuzki rusza ramionami, a po swojemu przemyśla o sposobach zaradzeniu rażącym już dziś wszystkie oczy niedostatkom, wie że się do celu dochodzi tylko chodem umiarkowanym i regularnym, a nie gwałtownemi przeskokami.

Przed trzema laty utworzyło się w Paryżu stowarzyszenie literatów i uczonych pod prezydencyą pana Hippeau znakomitego profesora, znanego w piśmiennictwie z ważnych prac pedagogicznych i innych. Stowarzyszenie to przy współdziałaniu dam opiekunek, założyło w kilku punktach Paryża kursa naukowe wyższe dla młodych panien, które ukończyły zwykłą pensyonarską lub domową edukacyę.

Program tych kursów nie wyłącza nauk ścisłych i przyrodzonych. Mają tam miejsce matematyka, astronomia, fizyka, chemia, zoologia, botanika, geologia, lecz po większéj części przedmioty te są wykładane popularnie, powiadają bowiem nie bardzo pragniemy matematyków i chemików na matki dla naszych synów" Za to wykłady historyi i literatury są rzeczywiście znakomite, znać pragnienie ażeby kobiety w pojęciach swoich postępowały na równi z duchem czasu. Dopełnieniem tych wykładów są: rysunek, dzieje sztuk pięknych, język niemiecki i angielski. Podobny kurs nauk otworzono także w Sorbonie.

Nie można wątpić jak dalece ogół pojął ważność téj nowéj instytucji, patrząc na ogromną liczbę uczennic zebranych w salach wykładów, słuchających z silnem zajęciem i pilnie kreślących notatki. Z pewnością młoda osoba z trzecioletniego kursu nie traci reszty czasu na płoche rozrywki umysł jéj rozjaśniony nauką udzielaną z wyższym na rzeczy poglądem, zasmakuje w zajęciu poważnem i użytecznem. A niewątpliwie i w nie jednéj z matek lub innych starszych osób towarzyszących, jak zwyczaj każe, młodym osobom na te wykłady, da się dostrzedz zwrot szczęśliwy w pojęciach i upodobaniach.

Ponieważ główną myślą przewodniczącą tym zabiegom około ukształcenia umysłów młodzieży żeńskiéj, jest zapewnienie przyszłym pokoleniom czynnika duchowego i moralnego, przeważnie wpływającego na rodzinę a ztąd na społeczeństwo, koryfeusze nowéj instytucji starają się przedewszystkiem gruntowną wiedzą uchronić młode umysły od wszelkich utopii, od pedantyzmu, szerzeniem zaś książek nacechowanych dążnością uczciwą i zdrową, wpoić w nie zamiłowanie swoich obowiązków. Książki też takie pojawiają się z dniem każdym coraz w większéj liczbie. Nie jest to wychowanie abstrakcyjne: to przezorność polityczna, popęd ku przyszłości społecznéj.

Takie widoki naprowadziły na myśl włączenie do programu naukowego Wykład Ekonomii domowéj, i wykład ten powierzono pani Eugenii Hippeau, żonie prezydenta, która z całem ciepłem poświęconego serca, przykłada się do szlachetnych usiłowań swojego małżonka.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie oddawna już uznano powszechnie konieczność udzielania kobietom wykształcenia wyższego, gdzie tak wyborne pozakładano szkoły z nieodzownym warunkiem, ażeby młodzież żeńska zupełnie takie same odbywała nauki, jakie są wykładane w najlepszych zakładach dla młodzieży męzkiéj,— w ostatnich czasach pomyślano także o nauce Ekonomii domowéj, i oto teraz właśnie ukazuje się książka w tym przedmiocie przez pannę Beecher dla użytku szkolnego napisana. Dzieło to całkiem ze stanowiska amerykańskiego rzecz traktujące, może posłużyć do ocenienia ogólnego ducha, w jakim prowadzone jest wychowanie publiczne w Nowym Świecie.

Panna Beecher upatruje przedewszystkiem w ekonomii domowéj osobistych korzyści dla młodéj panny, dla jéj zdrowia i dobrobytu. Wychodząc z téj zasady, iż w ogólności konstytucja fizyczna amerykańskich kobiet, czyni im zachody domowe uciążliwemi a często niepodobnemi do wykonania, autorka daje im kurs anatomii dla poznajomienia ich z mechanizmem ludzkiego ciała, z funkcjami różnych organów, ruchami i grą muskułów. Ztąd wypływają rady hygieniczne wielkiéj wagi, zalecanie gimnastyki, wstrzemięźliwości, umiarkowania, czystości i porządku.

Nadto zdawało się autorce, iż z pomocą Ekonomii domowéj powinna uzdolnić kobietę do różnych prac, które zazwyczaj nie wchodzą w zakres zajęć kobiecych. Otóż uczy ją budownictwa, żeby wiedziała jak najlepszy nadać szyk wszystkim częściom domu, wymieniając wszelkie przedmioty, sprzęty i narzędzia które będą jéj potrzebne, wykłada ze wszelkiemi szczegółami sposoby fabrykowania ich i użycia.

Słowem, panna Beecher pragnie wychować młodą panienkę na kobietę dzielną, radną, znającą się na wszystkiem.

U nas także dla zachowania koniecznéj równowagi w rozwoju materjalnym, duchowym i moralnym, nieodzownie potrzeba aby kobieta pozostała kobietą, lecz kobietą rozumną, światłą, czynną, pojmującą swoje wielkie obowiązki, i swoje stanowisko tak wysokie, iż zstąpienie z niego aby przejść na męzkie nie podwyższy ją lecz poniży, i tak ważne dla ogółu iż opuszczenie go dla osobistych zachcianek i urojeń wolno nazwać dezercją występną.

Nie rozumie się wszakże przez to odjęcie od wychowania kobiety widoków praktycznych i utylitarnych. Konieczność takiego wychowania dla bardzo wielkiéj części ludności żeńskiéj coraz przeważniéj zaprząta umysły, czego dowodem są tak zwane *écoles professionnelles* coraz liczniejsze w Paryżu, doskonalące się w swoim rozwoju przy silnem poparciu umysłów wyższych przy współdziałaniu ogółu. Pierwszorzędne znakomitości ze świata uczonego i literackiego. przykładają rękę do dzieła w sposób, dwojaką przynoszący korzyść. Każdy z kolei wybrawszy przedmiot poważny a interesujący, staje się jego organem dla licznie zgromadzonych czasem kilkotysięcznych tłumów, które biegną chciwie słuchać mądrego słowa, z tym większym zapałem iż widzą że grosz który im przystęp do niego otworzy, zwiększy skarbnicę ufundowaną przez miłosierdzie, by tysiącem sierot i ubogich dziewcząt, wyuczeniem ich chlebodawczego zawodu, zapewnić byt samodzielny i niezawisły.

Lecz wielką liczbę kobiet los stawia w takich warunkach, iż całe życie jéj będzie oddane spełnieniu posłannictwa żony, matki pani domu? Czyż więc dla tego że nauka nie będzie dla nich środkiem do zarobku, mająż być dla tak znacznéj massy kobiet zamknięte jéj podwoje? Owszem, tem bardziéj powinny być jak najszerszéj otwarte, dla udoskonalenia w nich, ugodnienia człowieka, dla utworzenia pożytecznego członka społeczeństwa, dla zwiększenia massy światła w narodzie. A wszystkie te warunki streści właśnie w sobie umiejętne spełnienie owego posłannictwa.

Dla niezamężnych lub w inny sposób wolnych od obowiązków rodzinnych, stoi niemniéj otworem szerokie do działalności pole. Zaprawdę konieczne są w społeczeństwie takie, że tak powiem, luźne istoty, które nie potrzebują zaniedbywać najbliższych powinności dla oddania się usłudze ogółu. I te im wyższą posiadać będą naukę, tem ważniejszy pożytek ludzkości przynieść są w stanie.

Niech nam wolno będzie przytoczyć tu fakt zajmujący, który w tych właśnie czasach napotkać nam się zdarzyło. Uczęszczający na publiczne kursa i prelekcje, których tyle i tak znakomitych w Paryżu się odbywa, na bardzo wielu z nich spotykają kobietę średniego wieku, powierzchowności skromnéj i zwyczajnéj, odznaczającą się tylko niezwykłą uwagą w słuchaniu, pilnością w notowaniu co prelegent naucza. Widocznem jest iż żadna myśl, żaden wyraz dla niéj nie stracony. I można być pewnym że się ją zastanie wszędzie gdzie najpożyteczniejsza wykładana nauka, a zwłaszcza gdzie są roztrząsane najżywotniejsze kwestje. Znać że dni jéj są poświęcone nauczeniu się. O ileż więcéj zainteresuje ta postać, tak chciwa wykształcenia wszechstronnego, gdy się dowiemy iż pobudką do jéj pilności jest nie tylko zamiłowanie w nauce, lecz dążenia najszlachetniejsze, najczynniejsza miłość bliźniego. Jest to osoba niezamężna, mieszkająca wspólnie z bratem także bezżennym, urzędnikiem w jednym z biór tutejszéj administracji. Brat przepędza większą część dnia przy pracy, która jemu i siostrze zapewni byt niezawisły; siostra niemając w domu żadnych obowiązków obraca te godziny na słuchanie wykładów. Po skończonych zatrudnieniach, oboje schodzą się w skromnym mieszkaniu, brat odczytuje zapiski siostry, słucha jéj sprawozdań, i przez jéj pośrednictwo obznajamia się dokładnie z najważniejszą częścią ruchu i postępu umysłowego, przyswaja sobie owoce prac mężów oddanych całkiem nauce, któréj brak czasu samemu zdobywać sobie nie pozwala. A czy wiecie dla czego to robi? — Oto aby w wieczornych godzinach zabierać głos w salach, gdzie się zbierają robotnicy na bezpłatne wykłady. Oto droga jaką wiedza i myśli wyższe przebiegając od góry całą hierarchię umysłową wsiąkają w najniższe jéj warstwy. Nie prawdaż jak interesującą jest ta pszczółka co zbiera tak troskliwie soki pożywcze ze świata i do ula znosi, gdzie z bratnią pomocą przerabia je na miody dla karmienia głodnych?

Tę ważność i korzyści nauki we wszelkich jéj zastosowaniach, pojmuje doskonale pani Hippeau, i na téj podstawie ugruntowała pomysły swoje tyczące się powierzonego jéj przedmiotu.

Nie stwarza ona bynajmniéj nowego systematu, nie zamierza sobie za jednym zamachem przekształcić i przerobić społeczeństwo, chce iść utartą drogą, lecz rozjaśniając ją, rozszerzając, coraz daléj, coraz wyżéj. To nie utopista stawiający wyrojone świetne obrazy, urzeczywistnienie których niewiadomo gdzieby doprowadziło, lecz swiatła, rozumna i doświadczona matka rodziny, szczerze rozważająca umysłem i sercem jaki najwłaściwszy kierunek dać należy téj potędze w któréj rękach spoczywa przyszłość."

Zdaniem jéj nauka Ekonomii domowéj ma być czemś więcéj, niż dotychczasowe *dobre kucharki* i *przepisy gospodarskie*, a nie ze wszystkiem *traktatem o wychowaniu*.

Naukę swoją podciąga pod trzy działy, których przedmiotami są: najlepsze użycie *czasu*, *rozumu i pieniędzy*.

Ale o rozwinięcie i zastosowanie tego trojakiego zadania nie zamyka się wyłącznie w materjalnym porządku rzeczy, lecz wyższą doniosłość ich wykazuje. Mogą one być uważane jako gałęź nauki moralnéj. Wypływające z nich przepisy umiarkowania, sprawiedliwości i miłosierdzia zbiegają się z zasadami które młody umysł czerpie w nauce religii.

Zacna nauczycielka wykazuje dowodnie, jak dla najwyżéj sięgającego w dążeniach swych postępu, nie ma potrzeby zrywać węzłów z tradycyą, przytaczając mnóstwo zdań o potrzebie i ważności kształcenia umysłowego i doskonaleniu zdolności kobiet, wypowiedzianych przez najgłębszych myślicieli nietylko nowych czasów, gdzie podniesiony ruch cywilizacyjny wymaga równego współdziałania wszystkich członków społeczeństwa, ale i z różnych epok, a nawet ze starożytności. Mądrość prawdziwa po wszystkie czasy przewidziała te potrzeby, których nieodzowność dziś uznajemy, i rozumiała ile zależałoby na rozszerzeniu sfery uczuć i pojęć kobiety by z jéj postępu moralnego i duchowego mogły spłynąć na ludzkość ko-

rzyści nieocenione, niemogące się zastąpić żadnym innym wpływem.

Jako dopełnienie nauki Ekonomii domowéj, wykłada pani Hippeau kurs Hygieny i Prawa zwyczajowego.

Dając Czytelniczkom w streszczeniu główniejsze zarysy z wykładu Ekonomii domowéj,— gdyż nauczycielka ubarwiała je odczytywaniem z najznakomitszych poetów i prozaików mnóstwa wyjątków, gdzie uczennice znajdowały żywe odbicie rozwijanych przed niemi pojęć i myśli, pani Hippeau raz jeszcze powtarzamy nic nowego nie stworzyła. Wszystkie jéj przepisy opierają się na rozumowaniach, które były już wielokrotnie przez najzdolniejsze pióra rozbierane we wszystkich krajach, a i u nas wcale niepośledniéj niż gdzie indziéj. To też pani Hippeau przemawia do młodziutkiego pokolenia nie tylko w swojem imieniu, lecz i w imieniu wszystkich myślicieli. Nad najwznioślejsze i najrozumniejsze teorje, więcéj czyn choćby najdrobniejszy znaczy, a oto pierwsze kroki na drodze czynu, i dla tego poznać je zbliska i szczerze im przyklasnąć należy.

Gor.

O UBIORACH.

Wiosenna pogoda zwiastująca dnie ciepłe, o lżejszych okryciach myśleć każe, pragniemy zatem łaskawem czytelniczkom, naszem opisem stosownym na tę porę przyjść w pomoc, ażeby robiąc tego rodzaju sprawunki, wiedziały czego żądać i czego od fantazji obecnie panującéj mody wymagać mogą. W tym więc celu zwiedzaliśmy kilka magazynów tutejszych, notując spostrzeżenia nasze w dzisiejszem sprawozdaniu.

W magazynie p. Kwiatkowskiego tylko co nadeszłe okrycia, odznaczają się wielką rozmaitością, pięknym materjałem i elegancją w odrobieniu. Zakład ten, czerpiąc swoje modele z pierwszorzędnych magazynów paryzkich, w nich gust odświeża i zrobić umie zawsze trafny wybór z zastosowaniem do potrzeb miejscowych. Dla młodych osób najwięcéj sprowadzono paletotów wcinanych nie zbyt długich, które zwykle krótka pelerynka przeróżnego fasonu dopełnia. Kolorem najwięcéj noszonym jest: Vert bouteille, bardzo ciemny zielony, ws zakże inne ciemne barwy dotąd używane jak np. maron, granatowy, bleu-noir, hirondelle i nigdy z użycia nie wychodzący czarny. Nowe fasony, różnemi nazwami obdarzono, jak np. Febus, Norma, Romeo, Lecouvreur i t. d. wszystkie te nowe fasony bardzo są kształtne i ozdobne; trzy pierwsze, paletoty do figury, ostatni tylko burnusową formą.

Materjał *pled* zwany bardzo jest trwały i praktyczny, z wyrobu takiego wyrabiają sięgające tylko kolan rotondy, w szkocką lub różnobarwną kratę, które gruba kręcona wełniana frendzla od dołu, a niewielki kapturek od góry zdobi. Okrycia te bardzo dogodne w czasie podróży, i na chłody letnich wieczorów, wyborną są zarzutką. Cena ich 15 rs. wynosi. Tą samą formą robią także okryc.a z materjału double face zwanego. Jak można po nazwie się domyśleć, materjał ten na obie strony daje się użyć. Ten wzgląd mając na celu, rotonda obie strony zarówno starannie, czarnym aksamitem ma ubrane. Kapturek nowego fasonu doskonale się wywija, tworząc kończaty kołnierz na przodzie. Materjał popielaty ma zazwyczaj grubą pąsową gładką lub w białe pasy stronę. Cena rotondy double face 15 rs. także wynosi.

Wymieniliśmy z początku niektóre nazwy okryć na tę wiosnę wymyślonych, trzeba zatem czytelniczki nasze z krojem i przyborem ich zapoznać.

Febus jest to paletocik do stanu paskiem spięty i pelerynką zdobny. Pelerynka dochodząca stanu, w tyle nieco spiczasto ścięta, przypina się do paska. Przód szerokiemi aksamitnemi wyłogami ubrany. Febus który widzieliśmy, był z pięknego drap velours Vert bouteille; bogate szmuklerskie rozety z długo spuszczonemi kwastami, przypinały pelerynkę w stanie i zdobiły z dwóch stron bryt tylny spódniczki, na bokach nieco podebrany. Szeroko czarnym aksamitem ubrana pelerynka z takimże kołnierzykiem i wyłogami, kończyła jedwabna kręcona frendzla. Szczególnie piękny garnirunek aksamitny miały paltotowe rękawy.

Romeo. Model przez nas widziany był z drap velours'u maron, bardzo pięknego cieniu. Paletocik wcięty miał na wierzchu dłuższą od poprzedniéj i okrągłą pelerynkę, która na przodzie pod rękawami niknęła, wykazując w całéj pełni, pyszne naszycie, pasmanteryjnemi kosztownemi brandeburgami z madziarska cały przód zdobiące, stopniowo ku dołowi coraz większą przestrzeń zajmujący. Odpowiednia frendzla i torsada ubierała pelerynę i rękawy.

Norma. Vert bouteille paletot do figury, spinał rypsowy czarny pasek zakończony oryginalnego pomysłu kokardą, z szarfą na boku przypiętą. Kruciutka pelerynka, stanu zaledwie sięgała. Duże rypsowe i długie kokardy na bokach przyszyte, dawały początek kilku plisom dosyć szerokim, które w półokrąg przód pokrywały.

Lecouvreur. Odmienny zupełnie fason tego okrycia, burnus więcéj przypominający, bardzo wdzięcznie i udatnie z tyłu upięty, oryginalne a pełne fantazji i dobrego gustu ubranie stanowi. Kolisty od tyłu burnus jest do samego stanu rozcięty, gdzie go duża aksamitna rozeta pasmanterją i jedwabnemi kwaścikami zdobna, przytwierdzała do paska, pod spodem przyszytego. Piękne wyłożenie z czarnego aksamitu z przodu kamizelkę naśladujące, z tyłu tąż samą formę zachowuje tworząc niby spiczasty płaski kapturek; kwasty kończą oba rogi tylnego rozcięcia.

Płaszczyk czarny z lżejszego materjału efektownie upięty z tyłu i paskiem naprzód przechodzącym ściągnięty, bardzo nam się także dystyngowanem okryciem wydał. Pięć aksamitnych kokard zdobiło go w tyle, a piękny garnirunek otaczał do koła.

Wszystkie te okrycia których wyszukanego gustu w odrobieniu, kształcie i rozmaitości przyboru oddać niepotrafimy, sprowadzone są jako modele, które tu z równem staraniem i świeżemi pomysłami w ubraniu naśladować pan Kwiatkowski będzie.

Ceny okryć wyżéj opisanych wynoszą od 20 do 40 rs, tu zrobione choć z równie doskonałych materjałów, będą stosunkowo znacznie niższe.

Dla starszych i poważniej ubierających się osób bardzo są piękne wolne krótkawe paletociki, rozmaitéj barwy, zdobne od dołu grubą frendzlą i całe do koła szeroką torsadą z strusich piór ubrane. Torsada tworzy stojący kołnierzyk, przybór na ramionach i u dołu rękawa. Paletocik taki z pięknego drap velours, 18 rs. wypada.

Inne wolne paletociki bardzo ładnie w ząb okrągły głęboki podcięte, strojne astrachanem, pluszem, aksamitem, rypsem, atłasem i t. d., bardzo gustownie i starannie odrobione, od ceny 12 rs. do 25 dochodzą. Przy tych wszystkich skromniejszych wełnianych okryciach, przemilczeć nie możemy, zasobnego wyboru pysznych okryć aksamitnych czarnych, które zarówno rozmaitością kształtu jak przyborem, różnem wymaganiom zadosyć uczynić mogą.

Krótsze paletociki wolne, lekko podwatowane z prawdziwego liońskiego aksamitu, z gipiurowym przyborem u rękawów są od 40 rs. Z dłuższych szczególniéj dwa naszą uwagę zwróciły.

Jeden z nich *duchesse* nazwany, miał plecy zupełnie do figury przystające oddzielnie skrojone, dwa bryty tylnéj spódnicy, w grubą kontrafałdę ułożone były zupełnie proste i oszyte do koła szeroką gipiurą przytwierdzoną wązką jedwabną pasmanterją. Przody znacznie krótsze mocno zaokrąglone odpowiednio były przybrane, szeroka gipiura podwójną falbanę tworząca którego w samym tyle najszersza i kolisto się zwężająca ku bokom, miejsce kokardy zastępowała przypaska, dopełniając całości pysznego tego ubrania, niezrównanego wdzięku tak pod względem kształtu jak i pomysłu w przyborze opisać trudno.

Drugi *Impératrice*, także do figury miał z tyłu fałd à la Watteau, pod którym pasek przechodził; przód ukośnie zapięty bardzo kosztowną gipiurą, i fantazyjną pasmanterją wytwornie przybrano. Rękawy zupełnie oryginalnego fasonu, długo wiszące jak również paletot do koła gipiurą i pasmanterją ubrane były.

W zakładzie pana Dziechcińskiego, znaleźliśmy okrycia na mniéj zamożne kieszenie dla osób skromniejszym fasonem i przyborami mniéj kosztownemi swój gust zadowolnić zmuszonych.

Na okrycia te pan Dziechciński przyjął wyłącznie prawie luźne marynarskie paletociki, materjał nic do życzenia niepozostawia, a przybór i długość paletota cenę stanowi, która od 10 rs. do 20 dochodzi. Na ubranie użyto kasztanków, pluszów, rypsu, atłasu i aksamitu, a jako tegoroczną nowość pokazywano nam ubranie z materjału paletota drap velours lub syberyny. Dosyć szeroka plisa, starannie objęta materją i w głębokie wycinane zęby, układa się w kontrafałdy w taki sposób, że zaokrąglenie zęba na wierzch konfrafałdy wypada, wcale ładne tworzy oszycie, szerzéj tył jak przody ubierając.

Były tam także i dwa fasony rotondy i burnusa. Rotonda miała plecy rozcięte, i w połowie to jest w pasie głęboką kontrafałdę tworzącą. Pasek na bokach pod spód przechodzący mógł spinać przody na wierzchu, lub tylko plecy do stanu przyciągać. Wielka kokarda pokrywała tylne zeszycie. Materja zastosowana kolorem do barwy weluru z którego rotondę wykonano, ubierała ją falbanką w podwójne fałdki układaną do koła. Cenę na 24 rs. oznaczono.

W tejże saméj cenie był burnus także maron z syberyny, znacznie dłuższy od poprzedniego okrycia, którego plecy zarówno paskiem przyciągnięte. Okrągły kaptur z przodu kołnierz formujący, zakończał okrycie. Kaptur pracowitem wyszyciem ozdobiono.

Panującym kolorem w okryciach pana Dziechcińskiego był ciemno-brązowy, czarny, hirondelle, ciemno fijołkowy i granatowy.

Aksamitnych paletocików dosyć duży zapas spostrzegliśmy, są one w różnéj cenie, zależącéj od długości, gatunku i ubrania. Cena oznaczona jest od 27 rs. do 40. Krótki aksamitny kaftanik na jedwabnéj podszewce, z ubraniem szmuklerskiem na rękawach i szmuklerskiemi guzikami na przodzie był w cenie 27 rs. Obstalunków podejmuje się chętnie pomieniony zakład, wykonywając je ze zwykłą akuratnością i rzetelnością.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

N. 17—22. Uczesanie i kapelusiki dla małych dziewczynek.

N. 17. Uczesanie w warkocz. Rozdzielone przez środek włosy zczesują się do tyłu, tworząc wpierw na przodzie rodzaj małych rulonników; reszta splecona w dwa warkocze, opasuje głowę i łączy się na przedziale aksamitną kokardą.

N. 18. Kapelusik dla malutkiego dziecka.

Krótkie kręcące się włoski pokrywa biały filcowy kapelusz z białem piórem, przybrany fałdowaną kokardą i opasaniem z niebieskiéj gazy. Klamerka z perłowéj massy, wpięta z boku kapelusza.

N. 19. Uczesanie w warkocze.

Obadwa warkocze, nieopasują głowy jak w poprzednim opisie, ale spuszczone dość długo, upinają się na tyle głowy, jak dwa duże pukle. Popielaty kapelusz kastorowy, przybrany aksamitem w dwóch kolorach lub też cieniach, dopełnia całości.

N. 20. Rozpuszczone włosy z warkoczem.

Włosy przednie zczesane do tyłu, splatają się w mały warkoczyk, zakończony kokardą który spływa na rozpuszczonych, lekko zakarbowanych włosach. Popielaty filcowy kapelusz, przybrany brązowym aksamitem, ozdabia brązowe pióro.

N. 21. Spuszczone warkocze.

Lekko zakarbowawszy i oddzieliwszy włosy na przodzie, przepasuje się je wstążeczką, na któréj ułożyć trzeba rodzaj niobów wszystkie włosy razem splecione w warkocze, puszczają się luźno, i zakończają kokardami.

N. 22. Zupełnie rozpuszczone włosy.

Ułożone włosy z przodu przytrzymuje pod spodem przechodząca wstążeczka, związana na boku.

N. 22—26. Strojne toalety.

N. 22. Suknia z tuniką „à tablier.“ Niezbyt długą spódnicę z lekkiego materjału, ozdabia dość szeroki garnirunek z zakładek, zakończony plisowaną falbaną. Dwa ruloniki atłasowe splecione, przepinają ukośnie zakładki. To samo przybranie, widzimy na bercie i na tunice, fartuszkowéj na przodzie, a z tyłu formującéj bufę. Tunika na gładkiéj sukni, może być w kolorowy rzucik, który wymaga téj saméj barwy rulonikow do garnirunku, paska i kokardy w tyle.

N. 23. Suknia z podpinaną tuniką.

Tunika upięta na spódnicy w rzucik, zakończonéj falbaną, wymaga téj saméj szerokości i długości co sama spódnica i oszywa się w koło czarną koronkową falbaną, tworzącą niewielki nagłówek. Stanik wycięty z jednego materjału co tunika, dobrze odbija na odmiennéj cokolwiek spódnicy. Bertę układaną w pliski, przytwierdzają koronkowe czarne przepięcia; czarna koronka formuje także dosyć krótką szarfę. Naszyjnik z pereł, kilka stokrotek we włosach, i takiż bukiet na przodzie przy pasku i w kokardzie. Szarfy dopełniają całości.

N. 25. Suknia z falbankami.

Na gładkiéj kolorowéj jedwabnéj spódnicy naszywają się falbanki muślinowe, tego samego cieniu. Górny brzeg ostatniéj falbanki, zamiast nagłówka, zakończa pasmanterja z jedwabnego sznurka ozdabiająca także bertę muślinową w fałdy układaną. Przy bercie, jedwabnych patkach rękawa, i szarfie, prócz pasmanterji, widzimy karbowaną frendzlę zwaną (effilée mousse). Szarfa składa się z trzech jedwabnych szerokich patek, pokrytych w rodzaj bufy muślinem i zakończonych u dołu frendzlą. Kokardy dają się z obydwóch materjałów. Kwiat we włosach tego samego cieniu jak suknia są najwłaściwszem ubraniem głowy.

N. 26. Suknia z podpiętą tuniką.

Ciężka jedwabna suknia naszyta u dołu koronkową falbaną; kosztowne to przybranie, zastąpić można plisowaną tarlatanową lub muślinową falbaną, na modelu w miejsce tego dana jest falbana jedwabna z odpowiednim garnirunkiem. Bardzo noszą także jedwabną tunikę ze stanikiem na muślinowéj, gazowéj, lub tiulowéj spódnicy, przybranéj bufami, falbankami i riuszami. Tunikę składa kliniasty przedni i proste pozostające bryty; z boków otwarta i sfałdowana, układa się do tyłu podług ryc. 26. Przyszycie koronki, pokrywają bufki; podobne przybranie, widzimy jako bertę przy staniku z krótkiemi rękawami w bufy. Kilka pojedynczych róż z perłami zdobi włosy.

N. 27. Suknia z powłóczystą tuniką.

Niezbyt długą spódnicę formuje tarlatan załamywany w podłużne zakładki, przeszyty i zakończony odpowiednią falbaną. Powłóczystą jedwabną prosto skrojoną tunikę, ubierają tarlatanowe riusze; to samo przybranie widzimy przy szarfie i na staniku, jako bertę, zakończoną frendzlą. Róże we włosach. Naszyjnik z breloków na aksamitce przyszytych.

N. 28 i 29. Stanik ubrany koronką (point-lacé albo dentelle rénaissance).

Przy ciemnéj materji koronka taka ślicznie odbija. Rycina 29 przedstawia ją, wraz z aksamitnym pasem, zdobiącą pół-wycięty stanik, przykrojony z przodu „à la Stuart,“ lub „à la Rénaissance“. Ryc. 28 podaje koronkę w naturalnéj szerokości; odrobienie jéj i ułożenie objaśniają rysunki. Dodajemy tylko że robota koronki wymaga cieniutkich nici, gęstych ściegów i tasiemeczki jedwabnéj w dziurki.

N. 30 i 31. Czepeczek na drutach.

Materjał $1\frac{1}{2}$ łuta kamelorowéj włóczki, średniéj grubości druty stalowe.

Czepeczek ten tak cienki prawie jak koronka, zaczyna się od szlaczka zdobiącego go w koło, który się w zupełności, osobno odrabia, dołączając potem ażurowe denko. Koronka czyli szlaczek na 16 oczkach, robi się następującym sposobem: 1 rządek, 1 oczko podniesione 1 prawe, zdjęte na prawo, 2 razy nałożona nitka, zdję. na prawo, 3 pr. zdjęte na prawo, nałoż. 3 pr. nałoż. 2 prawo, czyli prosto zrobione 2 rządek. Gładko na prawo, od 2 razy nałożonéj nitki, robi się 1 pr. 1 na lewo. Jeden taki rządek następuje zawsze po rządku deseniku, które tylko opiszemy. 3. Rządek. 1 podw. 1 pr. zdję. na prawo, 2 razy nał. zdię: na pr, 2 pr. zdję. na pr. nał. 5 pr. nałoż. 2 pr. 5 rządek. 1 pod. 1 pr, zdję. na pr. 2 r, nałoż, zdję. na pr, 1 pr. zdję. na prawo. nałoż. 7 pr. nał. 2 pr. 7 rządek. 1 pod. 1 pr. zdję. na pr: 2 r. nał. 2 razy zdję. na prawo, nałoż. 7 pr. zdję. na pr. nałoż, 2 pr. 9 rządek. 1 pod. 1 pr. zdję. na pr. 2 r. nał. z dję. na pr. 1 pr. nał. zdję. na pr. 6 pr. zdję. na pr. nałoż. 2 p. 11 rządek 1 pod. 1 pr. zdję. na pr. 2 r. nał. zdj. na pr, 2 pr. nałoż. zdję. na pr. 4 pr. na. zdję. na pr. 3 ocz. razem na pr. zrobione, n. 2 pr. 10 rządek. 1 pod. 1 pr, zdję. na pr, 2 r. nał: zdję na pr. 3 pr. nałoż. zdję. na pr. 2 pr. 3 oczka razem na pr. zrobione. 15 rządek 1 pod. 1 pr. zdję na prawo. 2 r. nałoż. zdję. na pr. 4 pr. nałoż. zdję, na pr. 3 oczka razem na pr. zrobione, nałoż. 2 pr. 17 rządek. 1 pod. 1 pr. zdję na pr. 2 r. nał. zdję. na pr. 5 pr. nałoż. 3 ocz. razem na pr. zrobione, nał. 2 pr. Powtórzyć od 1 rządka,

Koronka na modelu, liczy 56 zębów w około co razem stanowi jakby ramki do tła ażurowego; trzeba tak obliczyć, żeby, 19 koronkowych zębów, wypadało w koło rozszerzonych nieco ku dołowi barbek 7 zębów spaja barby w prostéj linji, 11 zębów potrzeba na ząb czepeczka z przodu. Przy tych wskazówkach, łatwo będzie cały fason czepeczka odrysować i tło wrobić razem albo oddzielnie. Desenik tła robi się tam i napowrót, żeby po trzech rządkach gładkich na prawo następował jeden mający na przemiany nałożone i zdjęte na prawo oczka. Po skończeniu roboty trzeba ją zwilżyć i z lewéj strony odprasować; przez dziurki koronki, przeciąga się kolorowa aksamitka ułożona nad czołem w rozetkę. dwie podobne zdobią barby.

N. 32—34. Chusteczka szydełkową robotą na głowę i na szyję.

Materjał: $\frac{3}{4}$ łuta białéj $\frac{1}{8}$ łuta kolorowéj angielskiéj włóczki.

Rycina 32 przedstawia trójkątną chusteczkę z wywiniętym brzegiem, która na ryc. 33 na głowie ułożona, tworzy czepeczek na kończe wstążki związany. Deseń w muszki luźno odrabia się szydełkiem, ściegiem tunetańskim tam i na powrót; próbkę roboty ze szlaczkiem czyli koronką, przedstawiliśmy w naturalnéj wielkości pod ryc. 34. Po trzech oczkach zwyczajnie szydełkiem przerobionych, w następnem robi się 3 słupki na muszkę w jedno oczko złączone. Powracając robi się oczko za oczkiem 1 pow. przegradzane. Zaczyna się od 46 cent. długiego prostego brzegu i przerabia, żeby środkowa wysokość wynosiła 18 cent. Wszystko wymaga 88 oczek podstawowych. Przy początku i na końcu każdego rządka w muszki, trzeba o jedną muszkę mniéj przerabiać, póki jedna muszka niezostanie na końcu trójkąta. Biała koronka gładko przyrobiona, z kolorowemi zębami na brzegu wrabia się w oczka pod spodem muszek wiszące. W każde takie oczko wrabia się 2 słupki 1 pow. i znów 2 słupki; przy ukośnym brzegu trzeba zawsze jedną muszkę omijać. Dalsza robota koronki z dwóch białych rządków i zębów kolorowych złożona, odrabia się podług ryciny 34.

N. 35. Szyfonierka ze srebrnéj kanwy.

Materjał. Srebrna kanwa 402 cent. niebieskiéj aksamitki ($\frac{1}{2}$ cent. szerokiéj) taka sama filozela. biała tektura etc.

Podstawa szyfonierki ze srebrnéj kanwy, wykrawa się z białéj tektury; na tył trzeba prostego kawałka tektury 35 cent. długiego a $11\frac{1}{2}$ c. szerokiego; przód wymaga sześć równych, po $7\frac{1}{2}$ cent. szerokich cząstek, ściętych śpiczasto na końcach i tak obliczonych, żeby we środku 19 cent. długości wynosząc, po bokach tylko po 12 cent. trzymały. Na spód trzeba pół-owala odpowiedniéj długości 11 c. szerokiego, sześciokątnie ściętego, którego brzeg prosty, dotyka tylnéj ściany. Podług cząstek tekturowych przykrawają się cząstki srebrnéj kanwy, wyszyte podług ryc. 35 niebieską filozelą w rzucik, przyłożone na tekturze lamują się białą wstążeczką i zszywają sobą jak wypada. Aksamitką niebieską przewlekany szlaczek, gummą arabską przyklejony, otaczający każdą cząsteczkę z osobna, wycina się ze srebrnéj kanwy w dziurki.

U górnego i dolnego brzegu szyfonierki szlaczek ten jest szerszy w zęby wycięty, u dołu aksamitką przewlekany, a u góry tak wykrawany, żeby formował gwiazdeczki. Dwa duże mosiężne kółka do tylnéj ściany przytwierdzone służą do zawieszania szyfonierki.

N. 36. Rozeta do rozmaitego użytku.

Na 3 cent. dużem kółku ze sztywnego tiulu, układa się 6 cent. duża kolorowa rozetka ze wstążki, na krawatkę lub we włosach noszona. Na spód, daje się 5 końców 3 c. długich wysiepanych; z wierzchu ułożona kokardka z 54 c. długiéj wstążeczki przez środek przemarszczonéj i w ślimak ściągniętéj.

N. 37. Deseń szydełkowy na czepeczki, wstawki itd.

Skrócenie: (Obacz opis ryc. 2 i 3).

Deseń ten formuje się z osobno odrabianych w podłużne pasy danych gwiazdek, których łączenie następuje przy robieniu listków koniczyny. Przewlekana w pewnych odstępach kolorową wstążeczką albo aksamitką robotą, stanowi wstawkę do poszewak. Zaczynając od środka każdéj gwiazdki robi się na podstawie 3 pow. oczek w kółko złączonych 6 śc. oczek, które stanowią środek 6 cząstek gwiazdy. Każda cząstka, składa się z 3 podwój. słupków w jedno oczko spojonych i w jedno ścisłe oczko środka wrobionych (w pierwszéj cząstce 4 pow. oczka formują słupkowe oczko).

Między dwoma cząstkami gwiazdy, robi się: 3 p. 1 listek koniczyny, wymagający 3 gęstych, pik. o 6 i 5 pow. ocz. które się 1 śc. oczkiem łańc. w pierwsze oczko z sześciu pow. pierwszego p. wrabiają, potem znów 3 pow. oczka. Połączenia pętelkowe do przewlekania wstążeczki jak spojenie gwiazdek z sobą, robi się przy środkowym pik. każdego listeczka koniczyny; potrzeba 3 pow. na środkowy pik. 14 po. na połączenie, a włożywszy w środkowy pikot koniczyny skończonéj gwiazdy i w czwarty z odrobionych powietrznych przerabia się 1 śc. oczko łańcuszkowe, a po nim na zakończenie środkowego pikota pozostające 3 pow. oczka.

Korespondencja.

Pani Julji Wa: Próbki serży, kaszmiru i atłasu wełnianego przesłaliśmy.

Pani Alinie Was.: Burno ufarbowane już odebraliśmy. Należytość wynosi rs. 4:

Pani Wandzie Po: W N-rze 14 i 15 Ty: Mód podamy wzory i kroje na bieliznę damską i męzką.

Pani E: Koch: za ufarbowanie sukni należeć się będzie rs. 3. kop. 50.

Pani Wandzie K. Aksamit angielski tak zwany: „Wiktorja“. Kosztuje rs. 1 kop. 20 łokieć. Do ubrania sukni jedwabnéj, użyć można koronkę czarną. Pani Rozalji hr. Tysz: Rs 7 kop. 50 odebraliśmy jeszcze się Redakcji należy kop. 96.

Pani Amelii R. Suknią do ufarbowania odebraliśmy.

Pani Marji Hen. Kapelusz z opłatą pocztową i opakowaniem kosztować będzie rs. 8.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

Druk Karola Kowalewskiego. Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

N. 1. Cygarniczka.

Wyszycie na skórze.

Na skórze miedzianego, popielatego, brunatnego koloru w rozmaitych cieniach, albo też na pąsowéj czy zielonéj, wyszywają się kręconym jedwabnym sznureczkiem, kontury główne deseniu; pojedyncze ściegi i gałązki, wyszyte ciemniejszym jedwabiem; siatka środkowa złotym sznureczkiem.

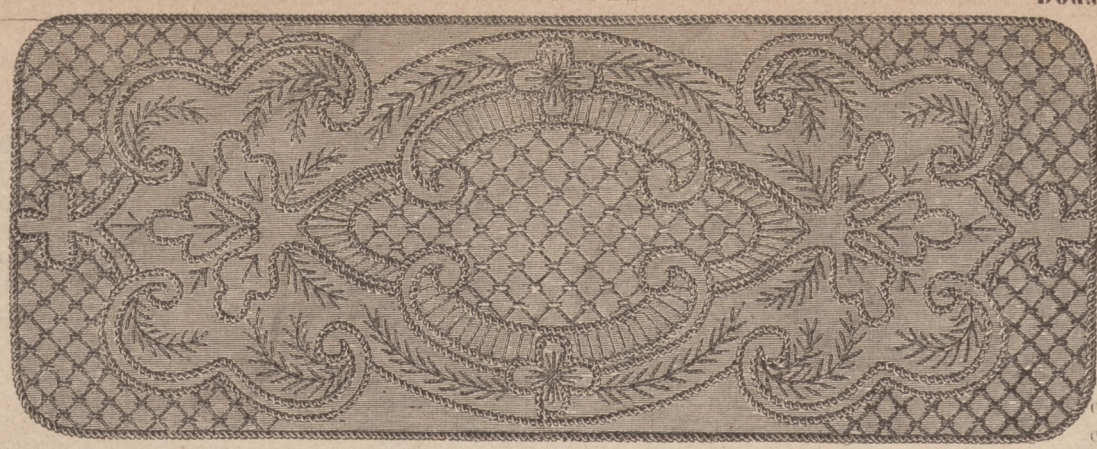

N. 1. Cygarniczka wyszyta na skórze.

N. 2 i 3. Dwie szydełkowe koronki z sutaszem „mignardise.“

Skrócenie ocz. zamiast „oczko“ śc. ocz. zamiast „ścisłe oczko;“ pow. zamiast „powietrzne oczko;“ sł. zamiast“ słupkowe oczko“ P. zamiast pikot złożony z 5 pow. i jednego ści. łańcuszkowego w pierwsze pow. z powrotem.

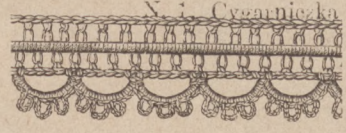

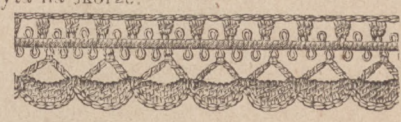

N. 2. Koronka z pikotowemi ząbkami.

N. 3. Koronka z zębami ze słupków.

N. 2. Koronka z pikotowemi ząbkami.

Zaczynając koronkę należy najwpierw sutaszna obie strony obrobić, kolejno 1 śc. ocz i 2 powietrznemi. Przyczepiwszy do 1 rządka, odrabiają się ząbki, powtarzając ciągle, 2 śc. oczka i 9 powietrznych. W trzecim rządku obrabia się poprzednie rzędy 3 śc. oczkami, 3 zawsze 2 śc. ocz. poprzedzielanemi pik. i znów 3 śc. oczkami.

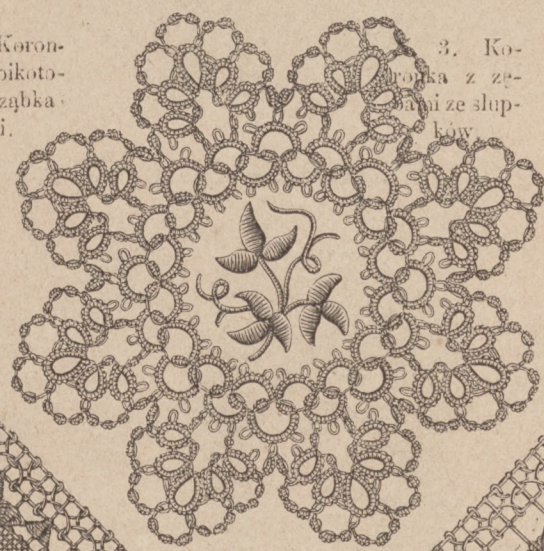

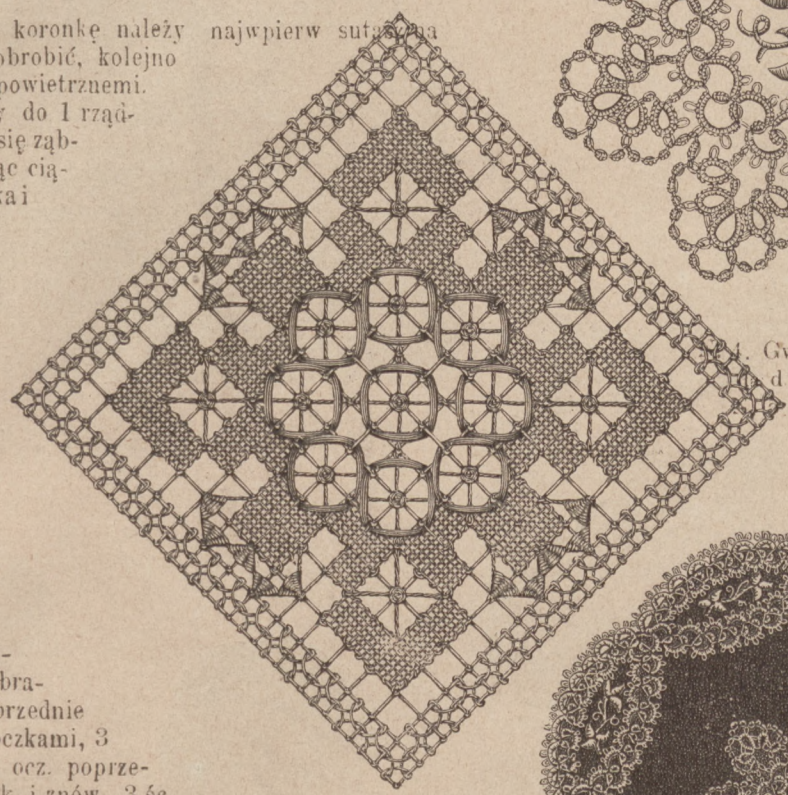

N. 4. Gwiazda.

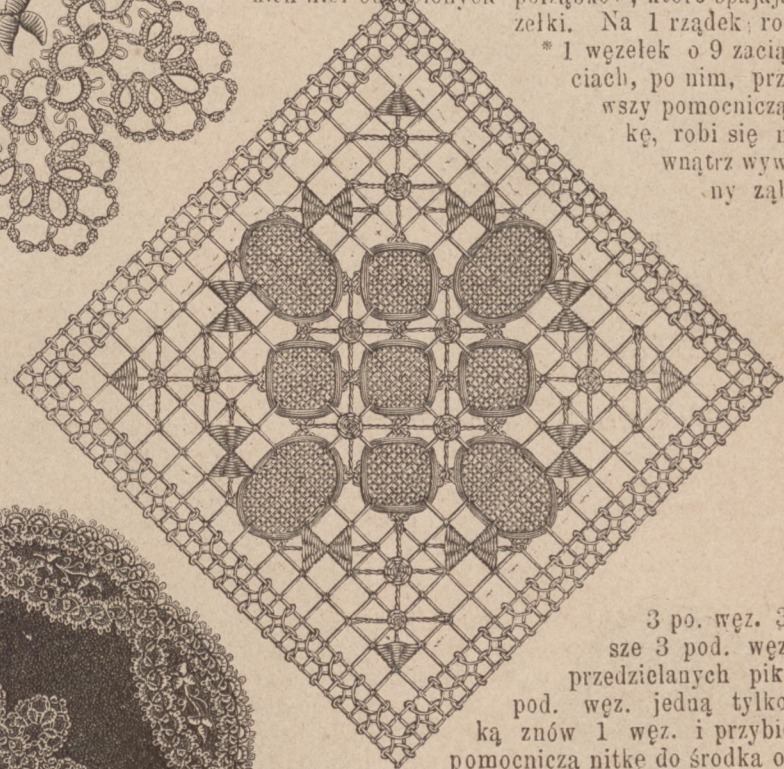

N. 3. Koronka z ząbkami ze słupków.

N. 6. Kwadrat z siatkowej gipiury.

Górny brzeg koronki, obrabia się na przemiany 2 słupkami w pikot sutaszu zaczepianemi i 2 pow. przy których się zawsze jeden pikot sutaszu omija. Na 1 rząd koronki, odrabia się ciągle w czwarty pikot sutaszu 2 czterema pow. przedzielanych słupków; w ostatnim rzędzie, między gęstemi słupkami poprzedniego rzędu, robi się najwpierw 1 śc. oczko, poczem przestrzeń pow. oczek, zapełnia się 6 słupkami.

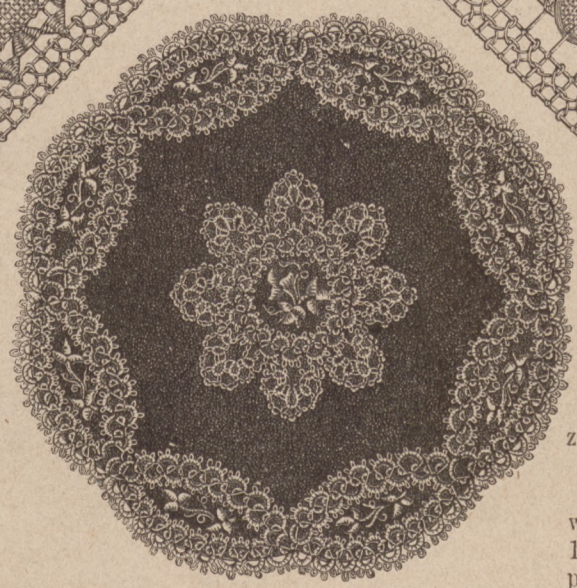

N. 5. Patarafka z aksamitu lub sukna.—Haft i frywolitki.

N. 4—5. Patarafka z niebielonego płótna.

Atłasek i frywolitki.

Skrócenie: Podw. węz. zamiast „podwójny węzełek.“ czyli 1 założenie i 1 ściągnięcie p. zamiast „pikot;“ Węz. zamiast węzełek.

Tło patarafki, stanowią dwa 17 i pół cent. duże kółka z niebielonego, żółtawego płótna, w 8 płaskich zębów wycięte, złożone na siebie, nieznacznie na brzegach złączone i ozdobione tak atłaskiem jak frywolitkami, patarafka, taka najrozmaitszéj wielkości, szczególniéj dobrze wyglądać będzie jeśli na tło weźmiemy sukna kolorowego lub aksamitu, na których haft i frywolitki dają się czarne. Rycina 4 przedstawia w naturalnéj wielkości środkową gwiazdę patarafki złożoną z atłasku i frywolitek. W około listeczków atłaskowych dany okrągły szlaczek, liczy 16 na zewnątrz, 16 na wewnątrz odwróconych, z cienkich nici odrobionych półząbków, które spajają węzełki. Na 1 rządek robi się * 1 węzełek o 9 zaciągnięciach, po nim, przybrawszy pomocniczą nitkę, robi się na zewnątrz wywrócony ząbek o 3 po. węz. 3 zawsze 3 pod. węz. poprzedzielanych pik. i 3 pod. węz. jedną tylko nitką znów 1 węz. i przybierając pomocniczą nitkę do środka odwrócony ząbek, liczący mniéj o 1 pikot, i 3 pod. węz. od pierwszego ząbka. Powtórzyć od* Drugi rządek składa się z 8 deseników z zamkniętych pętelek z węzełków spojonych pik. z sobą, które się przyrabiają do poprzednio wykończonego szlaczka. Na początku każdego deseniku zamocowywa się roboczą nitkę w pierwszym, bocznym pikocie półząbka i odrabia 1 węz. o 5 zaciągnięciach, po nim pierwsą boczną pętelkę o 4 pod. węz. 3 zawsze trzema pod. węz. przedzielanych pik. i znów 3 pod. węz. znów idzie 1 węz. a po nim następna pętelka o 16 pod. węz. z 1 pik. i środkowa pętelka o 21 pod. węz. z 4 pikotam.

N. 7. Kwadrat z siatkowej gipiury.

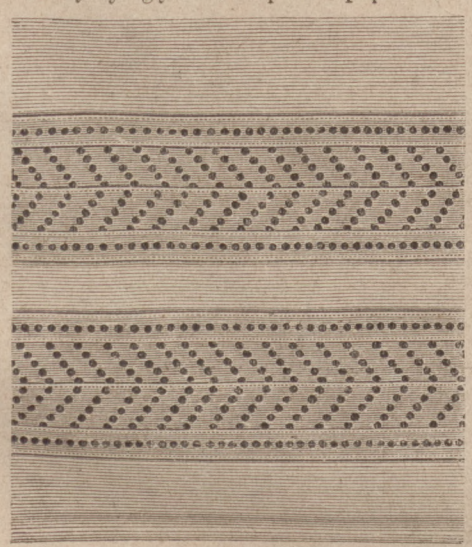

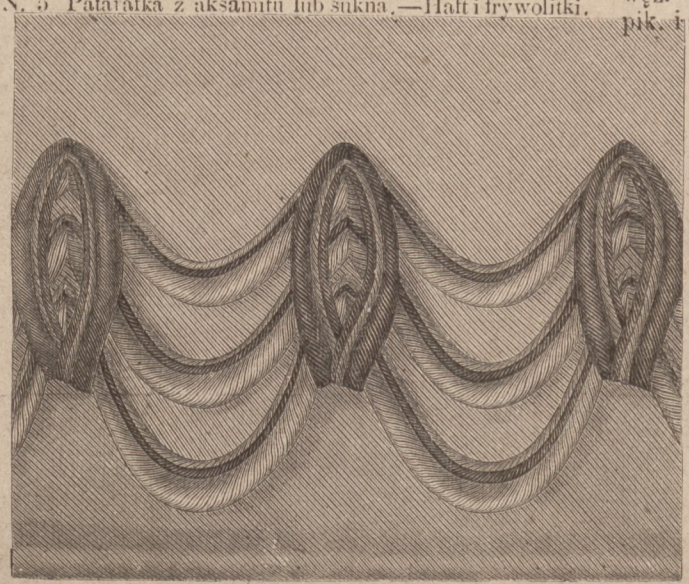

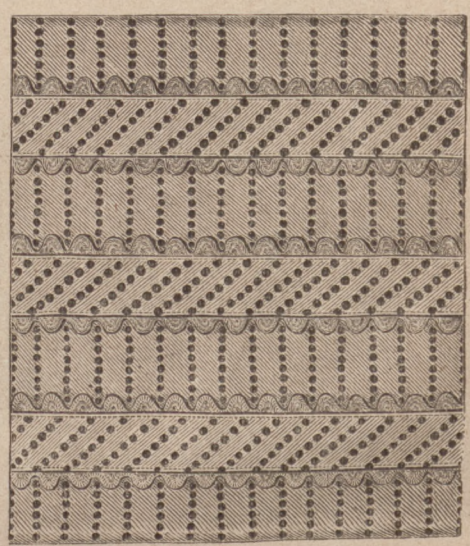

N. 9. Stembnowany szlak do spódnicy.

N. 8. Garniranek do sukien z podwójnych plisek.

N. 10. Szlak stembnowany na spódnice.

Wykończywszy drugą połowę deseniku, podług powyższego opisu, nitka zaczepia się w drugi boczny pik. ząbka. W ostatnim rządku daje się na przemiany, pięć ząbeczków złożonych z 3 węz. razem złączonych, które jak to na ryc. 4 widzimy, każdą otaczają pętelkę, i 2 dużych węzeł: wrobionych w środkowy pik. półząbka, między desenikami wypadającego. Brzeg patarąfki, ozdabia się frywolitkowym szlaczkiem; w każdym zębie wypada atłaskowa gałązka, przerobiona podług środkowych listeczków.

Szlaczek robi się tak samo, jak w środkowéj gwiaździe, z tą różnicą że każdy półząbek powinien liczyć po 3 pikoty. Żeby się szlaczek jeden na drugi niezakładał, przy zagłębieniu każdego zęba, trzeba zrobić taki duży kawał w całości, aby wystarczył, nietylko na obłożenie brzegu zęba patarafki, ale na obłożenie z drugiéj strony atłaskowéj gałązki będące. Zanim się szlaczek wewnętrznego zęba ułoży

N. 11. Pelerynka z aksamitu i koronki.

N. 12. Stanik pod szyję z chusteczką.

N. 13. Stanik ubrany aksamitem „à l'antique."

N. 14. Suknia do strojnego ubrania dla starszéj osoby.

N. 15. Stanik pod szyję z tuniką.

N. 16. Stanik z garnirowaną spódnicą.

na tle, trzeba pierwszą połowę z brzegu patarafki dobrze nicią poprzyszywać.

N. 6—7. Dwa kwadraty z siatkowéj gipiury.

Stosownie do grubości nici, kwadraty przedstawione, łatwe do odrobienia podług ryciny, łączone z tiulem wyszywanym lub frywolitkami, dadzą się użyć na denka czepeczków lub na serwetki do pokrycia mebli. Kwadrat taki, powiększyć można przez dodanie 4 — 5 oczek szlaczka.

N. 8—10. Trzy garnirunki do sukien i spódnic.

N. 8. Ubranie sukni z podwójnych plisek. Garnirunek szczególniéj przydatny do kolorowych spódnic, w połowie zmniejszony na ryc. 8. wymaga 1½ cent. szerokiéj podwójnéj pliski z materjału sukni, z odmienną wypustką bez sznurka we środku, z któréj układają się zęby 8½ cent. szerokie a 5½ cent. wysokie. W zagłębieniach gdzie się pliski na siebie zakładają, idzie rodzaj pętelki, z materjału jak wypustki plisek; środkiem téj pliskowéj pętelki, idzie wypustka wierzchniego materjału.

N. 9—10. Dwa stembnowane szlaki.

Szlak taki wyszyty w maszynie, daje się nietylko na białych spódnicach, negliżach ale nawet do perkalowych sukien. Na modelu, o połowę zmniejszonym, listewki dają się z perkalu w czarne kropeczki przymocowane białemi pliskami, ząbkami z tasiemki i stembnówką czarną albo białą.

N. 11. Pelerynka z aksamitu i koronki.

Pelerynka taka złożona najgłówniéj z czarnego aksamitu i koronki, kładzie się na podłużnie wyciętym staniku; do jasnéj sukni mogą być białe koronki. Pas aksamitny 4 cent. szeroki, ukośny, o ½ cent. ścięty ku przodowi, ogarnirowywa się gładko u dołu 4—7 c. szeroką, u góry 2—3 cent. szeroką, czarną koronką. Pas ten oszyty, układa się w ⅝ cent. szerokie kontrafałdy, w odstępach 1 cent. Kokarda ze wstążki, lub rozeta z aksamitek i koronki, zakończa pelerynkę na przodzie.

N. 17—22. Uczesanie i kapelusze dla dziewczynek.

N. 23. Suknia z tuniką „à tablier". N. 24. Suknia z podpinaną tuniką. N. 25. Suknia z falbankami. N. 26. Suknia z tuniką w drapeije układaną. N. 27. Suknia z powłóczystą tuniką.

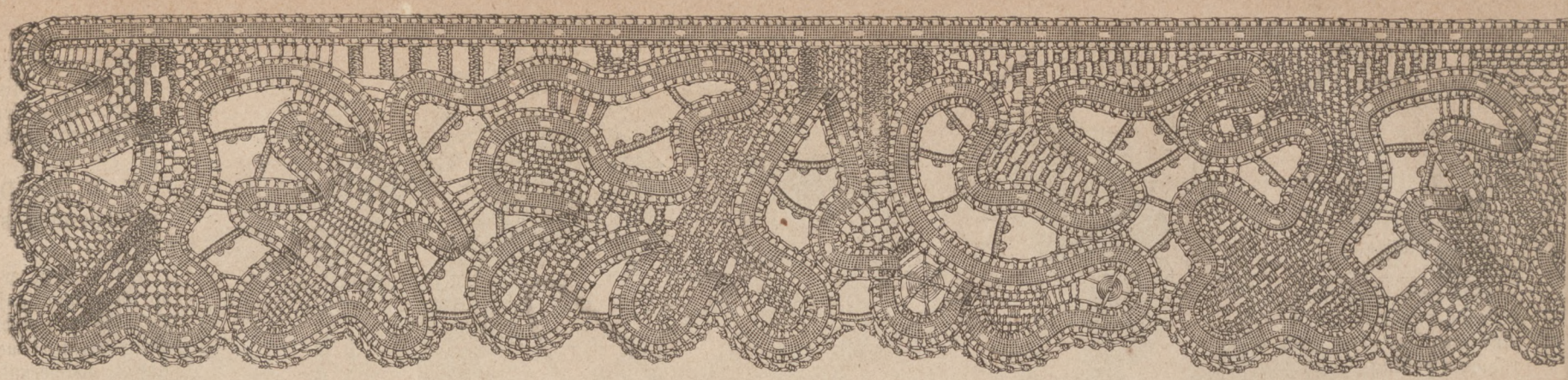

N. 23. Szlak koronkowy (point lace albo dentelle renaissance). Do ryc. 29.

N. 12. Stanik pod szyję z pelerynką.

Pelerynka ułożona na dobrze leżącym staniku, na formie „Marie-Antoinette,“ może się krzyżować tak z tyłu jak podług ryciny 12 na przodzie. Garnirunek pelerynki stanowi plisowana falbanka, lamowana i przytwierdzona listewką materji w cieniu sukni; z tejże materji daje się oszycie chusteczki u góry, pasek i kokarda. Na zakończenie falbanki, daje się także koronka jak na rycinie 15 nadszyta pasmanterją.

N. 13. Stanik ubrany aksamitem „à l'antique.“

Na formie zwyczajnego stanika pod szyję naszywa się aksamit i garniruje riuszą, lub też stanik wycina się tak daleko jak zachodzi garnirunek. W takim razie niezbędna jest kamizelka aksamitna pod spód albo biała muślinowa szmizetka.

Riusza dana koło wycięcia, marszczona jest z podwójnego materjału. i przeszyta pasmanterją w listki. Rękawy, ozdabia wykład aksamitny, zakończony riuszą.

N. 14. Suknia do większego stroju dla starszéj osoby.

Nie dawno podawaliśmy krój stanika dla osób otylszych, z którego łatwo przyrządzić powyższy, wycięty „à la Watteau.“ Model z kolorowéj popeliny, ubierają fałdowane falbanki i pliski materjału, przeszywane szmuklerską torsadą. Spódnica z trenem, pozostaje gładka. Wycięcie przodu, dopełnia szmizetka, układana na podstawie z gładkiego muślinu, w podłużne bufki z tiulu w desenik, przegradzane haftowanym szlaczkiem. Fryzkę tiulową w około szyi koronką oszytą, przegradza także przez środek haftowany brzeżek. Wielka bufa tiulowa stanowi rękawek, falbanką zakończony. Czepeczek tiulowy ze wstążkami kolorowemi, opisaliśmy w numerze 11 Tygodnika Mód.

N. 30 Czepeczek na drutach.

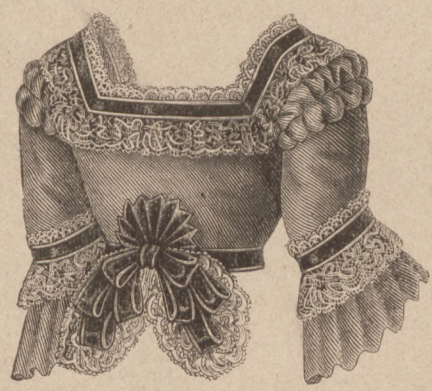

N. 29. Stanik ubrany koronką ryc. 23.

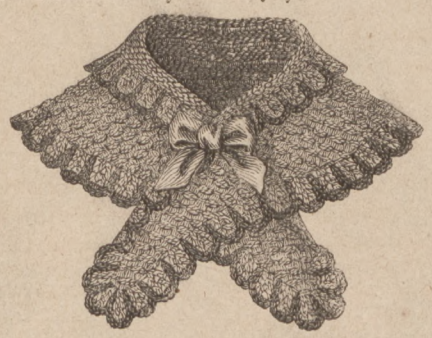

N. 32. Chusteczka na drutach.

N. 33. Czepeczek na drutach.

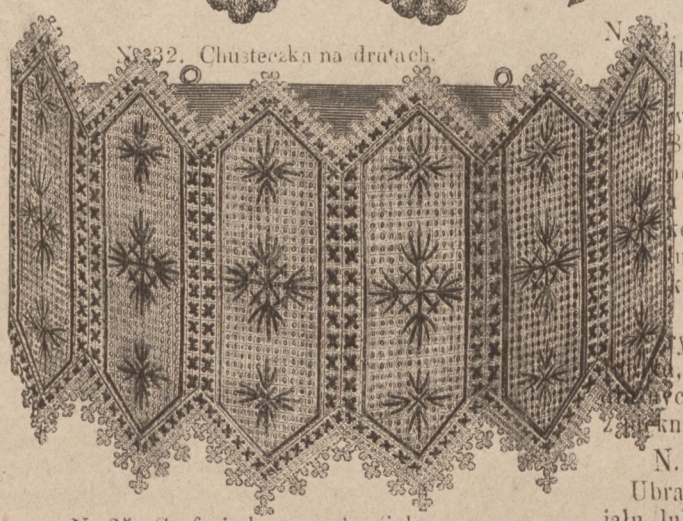

N. 35. Szyfonierka ze srebrnéj kanwy.

N. 15. Stanik pod szyję z tuniką.

Z magazynu Pani Cambray w Paryżu na bulwarze Strasburgskim N. 12.

Wełniane suknie ubierają się najwięcéj aksamitem dodając w miejsce koronek, szerokie plisowane lub kontrafałdowane falbanki. Do jedwabnych sukien, daje się koronka i szmuklerska pasmanterja jako nagłówek. Zamiast koronek. używa się również frendzla, tak do jedwabnych jak do wełnianych materjałów. Model, na gładkiéj spódnicy z trenem przedstawia tunikę złożoną z dwóch prostych brytów 30 cent. szerokich razem zeszytych, które się podszywa muślinem, fałduje w koło stanika, a na końcach odwraca w rodzaj wykładów, kokardą złączonych. Stanik zapięty pod szyję lub ozdobiony jakim bądź wycięciem, ma rękaw paletotowy zwyczajny, i szelki z koronki. Można dać także na staniku ubranie jak na ryc. 12. Szarfa pokrywająca roztwartą w tyle, składa się z trzech ostro zakończonych powych klapek, z tyluż pukli i podwójnéj kokardy z takiem przepięciem.

N. 16. Stanik z garnirowaną spódnicą.

Ubranie sukni może bydź z wierzchniego, materjału, lub też z zupełnie odmiennego rypsu. Spódnica z trenem, naszywa się z przodu „à tablier“ niedużemi falbankami. Przy staniku, dane są duże pukle, w takim porządku jak wskazuje ryc. 16 wszystko podszyte muślinem, daje się na sztywnéj muślinowéj podkładce. Kokardy na ramieniu, formują rodzaj epoleta, przy rękawie u dołu rozciętym i naszytym pliskami daje się także kokarda: pliski, ubierają stanik wycięty „à l' Antique lub „à la Watteau,“ Fryzka lub szmizetka z rękawami z saméj koronki lub muślinu z walansienkami dopełnia całości.

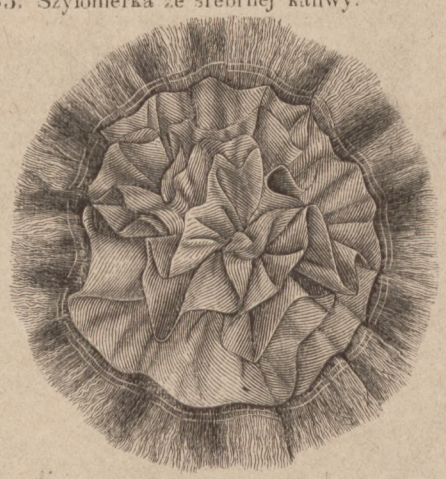

N. 36. Rozetka do rozmaitego użytku.

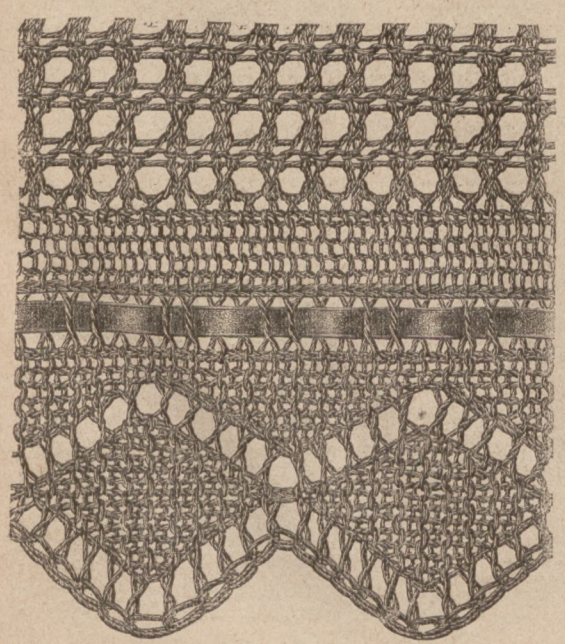

N. 31. Koronka na drutach do N. 30.

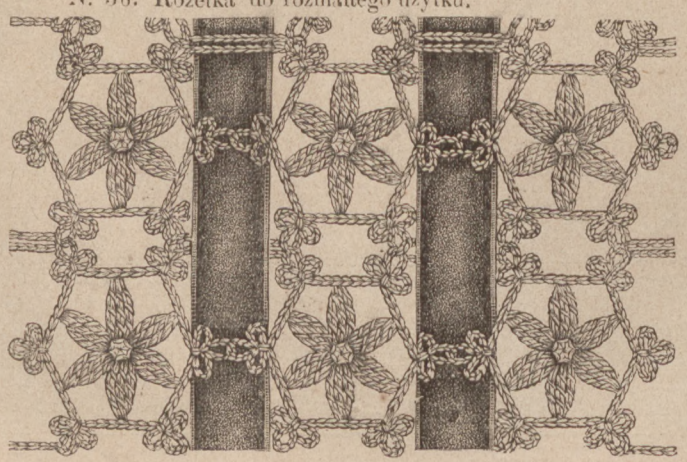

N. 37. Szydełkowe tło na czepki, szmizetki wstawki itd.

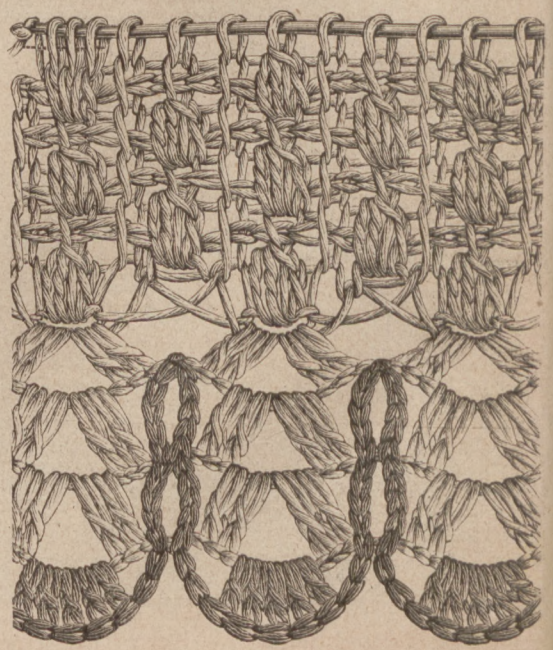

N. 34. Szlak i tło do N. 32 i 33.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego z drzeworytami w Tygodniku Mód.